

DZIS & JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 10 sierpnia 1947 r.



Nr 32 (89)

TREŚĆ NUMERU: Czytając prasę angielską..., M. A. Wasilewski: Udany wypad, S. Kisielewski i Z. Lichniak: Ciasnota czy pogląd na świat, M. Kurzyna: Androkles i Lew, St. Podlewski: Przemarsz przez piekło, Z zagadnień gospodarczych — plan Beveridge'a, ł. — Inwestycje w człowieka

Jerzy A. Górski

Kardynał Suhard o katolicyzmie francuskim.

Kiedy się czyta francuską prasę publicystyczną, trudno nie dostrzec w każdej niemal wypowiedzi głębokiej troski o dalsze losy Francji i przyszłość całego świata. A poważnych powodów do niepokoju jak dotąd nie brak...

Konferencja trzech ministrów spraw zagranicznych, konferencja paryska, plany amerykańskie dotyczące odbudowy Europy, a jeśli chodzi o sprawy wewnętrzne Francji ciągle trudności gospodarcze i polityczne, nieustanne nieporozumienia między partiami, tarcia w łonie samych stronnictw wreszcie wykryty niedawno spisek — oto niekompletny jeszcze materiał nastrojający komentatora do niezbyt optymistycznych rozważań.

Tak potrzebna jedność świata wydate się w świetle tych wydarzeń nietylko problematyczna (co jest oczywiste) ale i wprost niemożliwa do zrealizowania w najbliższym czasie. Jedność społeczeństwa francuskiego pozostała zaś piękną mrzonką z okresu walki z wrogiem.

A przecież nie ma dziś człowieka na całej kuli ziemskiej, który by nie zdawał sobie sprawy, że jeśli jedność ta nie stanie się, i to szybko faktem dokonany — nastąpi nieuchronna katastrofa. Od takiego jednak niewątpliwego stwierdzenia do działania w myśl zawartych w nim postulatów wiedzie daleka droga.

Nieprzerwanie toczy się dyskusja nad problemem ratowania ginącej ludzkości, ogarnia wszystkie narody, partie i środowiska; powstają coraz to nowe teorie i ujęcia tego samego tematu, przeciwstawiają się sobie najgroźniejsze zbawienne projekty — a tymczasem pogłębiają się przepaści między poszczególnymi narodami i wyrastają na podatnym gruncie groźne konflikty dzielące społeczeństwa na wrogie obozy.

We Francji największą aktywność w pracy nad ustaleniem warunków zbliżenia światowego, wykazują koła katolickie. Zanim jednak wytonią one jakąś zasadniczą koncepcję muszą określić przede wszystkim własną postawę wobec szeregu współczesnych zjawisk, tak społecznych, jak gospodarczych i politycznych oraz zdecydować o swej taktyce w przyszłości. Pisano na ten temat już bardzo wiele; a jeśli można już dzisiaj we Francji dojść do pewnych fragmentarycznych i niesmiałych konkluzji, to jest to bezprzeczną zasługą „Esprit” i jego zeszłorocznej ankiety. Oddając sprawiedliwość wymienionemu wyżej miesięcznikowi nie zapominamy jednak o filozofach i publicystach z innych, często nawet wrogich katolicyzmowi obozów, którzy również przyczynili się i przyczyniają

się nadal do wyjaśnienia sytuacji, co już samo przez się stanowi poważne osiągnięcie.

Z uwagi na dużą analogię jaka istnieje (może wypada w tym miejscu zaznaczyć: wbrew pozorom) między katolikami w Polsce i Francji i na podobieństwo zasadniczych zagadnień przyszłości wartoby się zapoznać z ogólną oceną sytuacji we Francji dokonaną z punktu widzenia katolickiego (patrz D. i J. nr 1 „O pewnym przykładzie”). Jeszcze ciekawszym będzie pogląd katolików francuskich na całokształt spraw światowych ze szczególnym uwzględnieniem roli jaką spełnia obecnie Kościół.

Niedawno wydany list pasterski kardynała Suharda, arcybiskupa Paryża zawiera między innymi szereg uwag pozostających w związku z perspektywami przyszłości świata. Ponadto kardynał Suhard zapoznaje nas w syntetycznym skrócie z poglądami zarówno indyferentów, jak i katolików i ich planami. Przytoczony poniżej fragment listu pasterskiego nosi tytuł „Kto dokona zjednoczenia świata”.

„I oto więc nasuwa się zasadnicze pytanie.

Kto da duszę tej nowej powszech-

nej cywilizacji, która samoistnie ustala się wszędzie na całym, dotychczas podzielonym, świecie; kto da duszę owej niespodziewanej jedności, która powstaje szybciej, niż nasza myśl, i planetarnemu humanizmowi do którego nie byliśmy przygotowani. Kto dokona syntezy nowego wszechświata? Kto będzie mu Zasadą i Natchnieniem.

ODPOWIEDZ NIEWIERZĄCYCH.

Czynnikami tym nie będzie Kościół — zapewnią niewierzący. I z bardzo prostego powodu: Kościół zamrze w niedługim czasie.

Oznaki agonii, powiadają niewierzący, są zupełnie widoczne. Czyż trzeba brać pod uwagę liczbę? Rodzącej ludzki zwiek, a się ślodziwo: Kościół maleje. Kościół pozostający zawsze w mniejszości, przynajmniej miał dotychczas, wśród swych wiernych silne społeczeństwa. Dzisiaj „apostazja mas” o której sam mówi wskazuje na jego upadek. Wskutek tysiąca pęknięć Kościół kruszy się i widzi jak odrywają się od niego, jeden po drugim całe narody. Upadek Kościoła, jak twierdzą, jest jeszcze dokładniej widoczny w dziedzinie jego wpływów, prestiżu i przyjaźni.

Niegdyś wielki mistrz kultury, na którą miał monopol dzięki teologii, i mistrz Władzy jaką zapewniał sobie utrzymując masy w nieświadomości — obecnie jest tylko cieniem samego siebie. Podzielony na rywalizujące frakcje, zniesławiany przez swych własnych synów — płaci w ich mniemaniu za nieprzebranie swych pierwotnych założeń, a w oczach świata składa okup za archaizm swych form. Kościół nie znajduje już posłuchu wśród ludzi.

Cóż mu więc ostatecznie pozostaje — pytają niewierzący.

Co co zawsze podtrzymywał: a więc „klasa” niegdyś kierująca liberalną Ekonomią, z którą Kościół się utożsamiał.

Związany z reżimem kapitalistycznym, Kościół znika wraz z umierającym już światem”.

Zebrawszy powyżej przytoczone opinie nieprzyjaciół Kościoła, kardynał Suhard dochodzi do wniosku, że głównym ich zarzutem jest twierdzenie jakoby cele Kościoła przeciwstawiały się dążeniom ludzkości, a więc były obce całkowicie nowoczesnemu humanizmowi. Kardynał cytuje cały szereg poglądów wyjętych z neopogańskich systemów filozoficznych, a zawierających napastli-

we sformułowanie zawsze tych samych myśli. „Chrześcijaństwo osłabiło ludzkość” — powiadają ateusze. „Człowiek współczesny nie oczekuje niczego ze strony kościoła w dziele odbudowy nowego świata; odrzuca tego świadka minionych czasów.

A katolicy? Jaką obrali pozycję wobec wzrastającej niechęci ku Kościołowi i ku nim samym. Oto co mówi na ten temat kardynał Suhard:

POZYCJA KATOLIKÓW

„Katolicy postawili sobie identyczne pytanie. I ich odpowiedź brzmi jasno: nie, Kościół nie zamarł. Nie, świat nic nie uczyni bez Kościoła. Ale istnieją i pewne warunki.

I w tym punkcie zaznacza się rozbieżność hipotez, o ile nie nawet ich przeciwstawność. Ostatecznie można by sprowadzić obecne stanowiska katolików (jak liczne krytyki wygłaszane przez nich od kilku lat) — do dwóch rodzajów postawy zasadniczej.

POZA WSPÓŁCZESNYM ŚWIATEM.

Pierwsza postawa jest typowo zachowawcza. Argumentacja jej stanowi skrajność w równej mierze, co i zdania jej przeciwników. Na ataki ateizmu katolicy odpowiadają „obronnym dogmatyzmem”. To nie Kościół, ale właśnie świat nowoczesny kona lub popełnia błędy. Raczej wypada tu powiedzieć poprostu świat, gdyż nowoczesny jest on wyłącznie w naszych oczach. Problemy do których odwołuje się ten świat, aby usprawiedliwić swój rozdział od Kościoła nie mają w sobie nic oryginalnego. Odnoszą się one do wszystkich minionych kryzysów. „Nic nowego pod słońcem”. Problemy pozostają — zmieniają się tylko nazwiska. To nie Kościół opóźnia się w rozwoju. To człowiek przeszy i myli się. Podobnie, jak i wszystkie inne systemy, tak i ten zstarczeje się. Pozwólmy więc, aby burza przeszła. Prawda zawsze triumfuje na końcu. Kościół przechodził już nieraz przez okresy krytyczne i nieodczuwa przed nimi lęku.

Niebezpieczeństwo grożące dziś Kościołowi wynika z chęci przystosowania się; niech więc Kościół opiera się tej wiecznej pokusie. Nie on ma modyfikować swe posłannictwo, to współczesne cywilizacje winny je przyjąć. Niech więc Kościół wzmacnia swą nieprzejednaną postawę. Niech nie słucha kłamliwych wezwań, które zły duch szeptał już do ucha Zbawiciela. Dzisiaj wszystko skłania Kościół do zapomnienia o jego zasadniczej misji, która polega na krzewieniu wśród ludzi, bez żadnych ustępstw, „słowa

Wytyczne

Zamieszczona w niniejszym numerze polemika na temat piękna daje okazję do zasadniczej dygresji.

Sens pojęć najprostszych jak „piękno”, „prawda”, „dobro”, „szczęście”, „miłość” i t.d. jest przeważnie nie do ustalenia w dyskusji z przygodnym rozmówcą. Ludzie przeżywają całe lata nie określwszy swego osobistego stosunku do podstawowych zagadnień życia. Przyczyną tego zjawiska jest niebywale niski poziom wykształcenia filozoficznego naszego społeczeństwa. Znajomość klasyków, nawet tych kilkunastu, którzy tworzyli podstawy intelektualne naszej kultury jest przerażająco niska.

Ludzie nie wiedzą • czym dyskutują. Narzekają na chaos ideowy, choć nigdy swej idei nie rozumieją.

Wydaje się nam konieczne, aby w czasie wielkiej walki ideologicznej, w okresie rozdroża kulturalnego Europy, społeczeństwo polskie zaczęło nareszcie porządnie myśleć. Umiejętność precyzyjnego myślenia jest nie do osiągnięcia w dziedzinie humanistycznej bez znajomości filozofii.

Namawiamy poprostu tych wszystkich, którzy chcą być podmiotem w walce o oblicze ideowe naszych czasów, aby zaczęli pracę nad uzupełnieniem swej znajomości klasyków filozofii.

DM 19105

W kraju...

PRYMAS POLSKI NA ZIEMI WARMIŃSKIEJ

W ubiegłym tygodniu bawił na Warmii Ks. Kardynał August Hlond, entuzjastycznie witany przez katolicką ludność autochtoniczną i liczne rzesze świeżo osiedlonych, pochodzących przeważnie z ziemi wileńskiej. Wprawdzie Ks. Prymas był tylko gościem tamtejszego Administratora Apostolskiego, księdza dr. Benschla jednak siłą rzeczy wizyta polskiego księcia Kościoła, będąc w pierwszym rzędzie dużym wydarzeniem natury religijnej, stała się jednocześnie okazją do wielkiej manifestacji patriotycznej, mającej wyrazić ścisłą łączność katolickiej Warmii z resztą Rzeczypospolitej. O zrozumieniu ogólnopolskiego znaczenia wizyty Ks. Prymasa, świadczą m. in. fakt witania Go w Kętrzynie przez przedstawicieli wszystkich władz cywilnych.

Blisko Kętrzyna znajduje się dawna kwatery Hitlera, budowana przez więźniów obozów koncentracyjnych, którzy po ukończeniu pracy zostali zabici. Ks. Prymas stanął wśród ruinowisk, by pomodlić się za ofiary brunatnej przemocy.

Przemawiając w Olsztynie scharakteryzował Ks. Kardynał powojenną sytuację religijną.

Słuchając polskiego księcia Kościoła, podejmowanego przez następcę Dantyszaków i Krasiczkich niepodobna oprzeć się przeświadczeniu o znikomości i nieważności naszych małych waśni partyjnych.

Wizyta ks. Prymasa na Ziemiach Odzyskanych nastraja do głębię bóli refleksyj.

JEDNOLITY FRONT PARTII MARKSISTOWSKICH W STADIUM REALIZACJI

ostatnie uchwały Rady Naczelnej PPS zmierzające do umocnienia jednolitego frontu obu partii marksistowskich były przedmiotem gruntownej dyskusji na zebraniu warszawskich aktywów PPS i PPR. Sekretarz CKW PPS p. Ćwik zapowiedział, iż na podstawie uchwał Rady Naczelnej — „PPS rozpoczyna czystkę szeregow partyjnych — pierwszą czystkę w historii Polskiej Partii Socjalistycznej”. Rozpoczynając się kampania będzie według słów p. Ćwika „związana z pewnymi zmianami organizacyjnymi wewnątrz partii”. Powyższe enuncjacje pozwalają przypuszczać, że rozbieżności między obu partiami, których zewnętrznym objawem był spór o „personalników” i o „Społem” są na drodze ku ostatecznej likwidacji. Kierownictwo PPS jest zdecydowane pójść jak najdalej celem usunięcia wszelkich ewentualnych powodów do zadrażnień.

Nieomal równocześnie z datą posiedzenia aktywów obu bratnich partii zbiegła się wiadomość o rozszerzeniu zakresu działalności PCH, której dystrybucji została poddana cała produkcja państwowych przemysłów: spożywczych i fermentacyjnych.

Czytajcie

„SŁOWO Powszechne”

KATECHIZM

najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży

Ks. dr Win. Helenowski

Gostynin, wojew. Warszawskie

które nie mijają”. Kościół bowiem nie jest z tego świata. Jest on królestwem Boga, to też, powstrzymując się od prób wykonania niemożliwego zadania polegającego na zasypaniu przepaści dzielącej go od ziemi, winien pozostać na zewnątrz, ponad kolejnymi wstrząsami. Jedyną postawą Kościoła jest zerwanie ze współczesnym światem. Na polu doktryny wyrazi się to przez całkowity powrót do form tradycyjnych w stosunku do oficjalnych przepisów gwarantujących słusność i wzmocnienie apologetyki. A przede wszystkim — nie wolno się przystosowywać — prowadzi to bowiem do wszelkich ustępstw.

Prawda w swej surowości i bez zbroceń.

W akcji katolicy przypomną sobie, że kompromis nie rodzi ani szankunku ani korzyści. Niech więc się strzegą przedwczesnej współpracy. Siłą ich będzie ich jedność. Utwierdzenie się ich Credo i przynależność do Narodu Boga warte jest więcej niż zuchwałe postępy. Kościół wyjdzie z kryzysu jeśli odmówi wejścia w ramy współczesnych urzędów. Kościół bowiem mniej boi się Nerona niż Konstantyna“.

W ORBICIE WSPÓŁCZESNOŚCI

„Wszyscy ci, którzy zarzucają Kościołowi brak doczesnej skuteczności, wzywają go do dokonania biegunowo przeciwnej reformy. Kościół na zachodzie nie przeszedł ewolucji na równi ze społeczeństwem świeckim. W naszych czasach Kościół jest nieobecny w życiu społeczności, podczas gdy w średniowieczu brał ścisły udział w społeczeństwie, a parafia i gmina posiadały ten sam wymiar i to samo życie.

Dziś Kościół unosi się ponad ludzkością zamiast wcielić się w jej ciało i krew. W posłannictwie Kościoła zawarte jest wszystko czego trzeba

dla ożywienia współczesnych ustrojów i ułożenia planów na przyszłość — ale Kościół nie korzysta z tych możliwości. Pozwala obcom albo i wrogom podejmować decydującą inicjatywę w dziedzinie doktryny, kultury i działania. Gdy Kościół działa lub gdy przemówi — często jest już za późno. Jeśli chodzi o badania naukowe, prawa socjalne, czy humanizm — nowatorzy rzadko pochodzą ze strony Kościoła. W ten sposób nie można zjednywać świata dla Chrystusa. Jest jeszcze czas, aby Kościół zajął należne mu miejsce — nawet pierwsze — w pracy nad przyszłością, jednak pod jednym warunkiem: wcielenia się: „Bóg stał się człowiekiem, aby człowiek mógł sięgnąć wielkości Boga“.

„Tak więc — ale wyłącznie tak — Kościół odzyska życie“.

„Dla przeważającej większości zwolenników przystosowania się, to wejście do współczesnej cywilizacji wymaga formalnego poszanowania istotnej treści Duszy. Nie oszczędza i on krytyk Kościołowi; ani hierarchii, a kierowane ku nim sugestie dotyczą licznych dziedzin. Wielu misjonarzy, księży i ludzi świeckich stykających się z achrześcijańskimi masami wysnuło ze swych codziennych doświadczeń wniosek, że należy dokonać pewnych modyfikacji — zwanycy drugoplanowych, ale naglących — dla skutecznej ewangelizacji. Pragną oni przez konkretne i odpowiednio przystosowane unarodowienie religijne zastąpić kazania i naukę katechizmu nazbyt dalekie od Ewangelii. Jeśli chodzi o teologię, która nie jest zamknięta, jak Objawienie to żądają oni — nie poświęcając wysiłku syntezy i realizmu stawiającego najwyższe dogmaty Chrześcijaństwa na pewnym miejscu w życiu duchowym naszego wieku. Zaznaczają również, że kult i liturgia są częstokroć niezrozumiałe. Z tej to

przyczyny ogół, a często i elita Chrześcijan nie ma dostępu do wielkiej wspólnej modlitwy. Uprawiają oni formalistyczną religię pozostającą bez związku z ich codziennym życiem. Czy Kościół nie przyjdzie im z pomocą, ułatwiając im przyjmowanie sakramentów i rozumienie świętych obrządków. Należy zaobserwować, iż niezależność ludzi świeckich raczej polega na ich własnych zapewnieniach, niż jest realna. Katolicy świadomi faktu, że laicyzm osiągnął przewagę żądają odeń szerszej odpowiedzialności. Dla katolików tych nie istnieją kwestie (do finansowych włącznie) z szczególnym uwzględnieniem aktów kultu, które nie stanowiłyby okazji do wyrażenia postulatów reformy“.

„Uaktywnić swe stanowisko, aby wszystko zachować, albo wcielić się, aby wszystko zdobyć. Oto są dwa bieguny opinii katolickiej przy najmniej w naszym kraju“.

Ograniczanie powyższej analizy do terytorium Francji przez kardynała Suharda wydaje się poprostu zbyt ostrożnością. Wiemy dobrze, jak dalece sytuacja w innych katolickich krajach Europy zbliżona jest do sytuacji we Francji. Wszędzie dąży się bez trudu skupić najpowszechniej szerzące się poglądy w trzy grupy, analogicznie do syntezy opinii przeprowadzonej przez kardynała Suharda. Istnienie silnej nawet grupy indyferentów atakujących Kościół nie wydaje się jednak do tego stopnia groźne, co coraz wyraźniej zaznaczające się rozbięcie środowisk katolickich.

Zagadnienia tego nie można żadną miarą sprowadzić do poziomu chwilowych sporów na temat wyboru własnej metody. Tu chodzi bowiem o przełomową decyzję, która stanowić będzie przede wszystkim o przyszłości całego świata. Wielkość Kościoła katolickiego nie po-

zwala nam wierzącym wątpić choć na chwilę w jego zwycięską przyszłość. I to musimy mieć przede wszystkim na względzie, nie zatracając istotnego celu naszego życia w prze rafinowanych rozmyślniach nad problemem obrania taktyki.

Bowiem jak pisze kardynał Suhard: „Cóż mamy myśleć o tym Kościele, o którym powiadano, że zamark. Rozpętały się burze wieków i ludzi, aby go pochłonąć. Lecz on przetrwał potok, niby arka i za każdym razem znajduje nowy brzeg, aby rozwinąć się jeszcze pełniej. Dziś podobnie, jak ongiś świat nie ocalał się z potopu bez Arki. Dziś, jak i wtedy „Duch Boży unoszący się nad wodami“ zysła światu gołębicę, swój żywy symbol, z gałązką oliwną. I wątpli ten świadek niezbadanego kontynentu nie podobny jest w niczym do zwiedniętych liści, ma w sobie powab i świeżość wiosny“.

Nie chcemy łatwo przesądzać, który z kierunków nurtujących w sro-wiskach katolickich odniesie zwycięstwo. Przed każdym katolikiem otwierają się dziś dwie drogi. Katolik sam musi jednak dokonać wyboru zgodnie ze swym sumieniem.

Nie można zatem potępiać nikogo za przynależność do jednej lub drugiej grupy, określonej przez kardynała Suharda: obie są przecież jednako katolickie — i dążą do tego samego wielkiego celu: zwycięstwa Kościoła katolickiego.

Weszlśmy świadomie, zgodnie z naszym najgłębszym przekonaniem na drugą z dróg wymienionych przez kardynała Suharda. Wierzymy, że dzięki przeniknięciu do naszego życia nieskażonych prawd Wiary Objawionej świat uniknie groźnej katastrofy. Musimy być zawsze i wszędzie obecni i utrzymać łączność ze światem współczesnym chociażby nawet chwilowo był on nam wrogi.

Jerzy A. Górski

CZYTAJĄC PRASĘ ANGIELSKĄ

Prasa angielska jest uniwersalna. Nie ma chyba takiego zakątki ziemi, o którym by nie pisała, którym by się nie interesowała. To też i o Polsce pisze dość często, choć nie tyle, co np.: o Burmie, Egipcie, czy Indiach. Byli władcy świata u schyłku swego znaczenia, choć teraz jeszcze, jak mówi Chesterton, słońce nie wschodzi nad ich posiadłościami — wiedza doskonała, że znajomość świata jest podstawą do osiągnięcia korzyści wpływów.

Sympatyczne o nas wspomnienie wygłosił przez radio H. E. Griffiths, który bawił w Polsce na zaproszenie naszego rządu jesienią ub. roku. Przemówienie jego obficie ilustrowane zamieszcil London Calling. Stwierdza on w Polsce intensywną uprawę roli, obfitość bydła, brak koni. W Warszawie, w większości miast prowincjonalnych ujrzał krańcowe zniszczenia. Względnie tanie, smaczne, a obfite jedzenie w restauracjach. Na targach tłumy chłopów z całymi rodzinami w regionalnych strojach, na wozach ciągniętych przez konie. Wozy te, aczkolwiek prymitywne, wzbudzają szczególną uwagę podróżnika, bo są wszystkie ogumione. „Skąd oni wzięli te gumy?“ pyta się p. Griffiths. I zaraz odpowiada: „możnaby wiele zgadnąć“. Zapewne nasz gość trafił na jarmark w Łowiczu, bo, niestety, nie wszystkie polskie wozy są jeszcze ogumione.

Uderza podróżnego polskie zamalowanie do piękna. Widzi on liczne, godne podziwu (Wunderful), kwaciarnie, ulice w kwiatkach w każdym mieście.

„Jest prawie nie do uwierzenia, że pośród takich spustoszeń chryzantemy, róże, goździki są masowo uprawiane i znajdują go towy zbyt; widzi się wesołe kwiaty w oknach w takich mieszkaniach, które są często czynnikiem wiele więcej, niż jaskiniami, wygrzebanymi z gruzów. Te kwiaty są jedynym znakiem szaleństwa (extravagance) ludu i trudno się oprzeć uczuciu, że bez tego jednego, jaki został, hołdu dla piękna, dusza jego by zginęła“.

Natomiast, nowe budynki, powstające na starych fundamentach, są szkaradne (hideous) w samym krańcowym funkcjonalizmie... Przyczyniają się one niezawodnie do pogłębienia uczuć — przynębnienia i zawodu, towarzyszy zmęczenia“.

W zakończeniu p. Griffiths wyraża pogląd, że odbudowa katedry byłaby natchnieniem dla ludu całego kraju... „Byłaby to rzecz piękna i byłaby wiecznotrwała pamiątką, że jest on w dalszym ciągu zdolny odnowić dawną chwałę Polski“.

Uważam, że nie zasłużyliśmy na tyle pochwał. Oczywiście w zestawieniu z Anglią, która prawie nie ma ludu, zwłaszcza chłopów, jesteśmy krajem zdrowym i naturalnym. Jeszcze w XVII wieku Anglia zniszczyła swoje rolnictwo dla korzyści, płynących z przemysłu i zamieniła swe pole uprawne w pastwiska dla owiec, przeciw czemu głośno protestował mądry i święty kanclerz Henryka VIII Tomasz Morus.

To też z mniejszą lub większą biedą możemy się sami wyżywić nawet w najgorszym czasie. Anglia nigdy. Nic więc dziwnego, że

Anglik nasze rolnictwo nazywa zdrowe instynkty i zamiłowania w znacznym stopniu.

Od Warszawy również zaczyna swój artykuł. „Sprawy gospodarcze a ideologia“ J. Morton w New Statesman and Nation.

„Może dobrze się stało, że krótko wizyta p. Bevina w Warszawie w drodze z Moskwy, stała się punktem zwrotnym w polityce zagranicznej Anglii. Ma on wyobraźnię i łatwo może go przekonać osobiste doświadczenie. Nie jest on, jak wielu sądzi, dogmatykiem. Dość mu było paru godzin pobytu w Warszawie, by zobaczyć, że Polska nie jest провинcją sowiecką, ale narodem, który próbuje połączyć wolność ze współpracą z wielkim mocarstwem i że polski socjalista może współdziałać z komunistą nie wzbijając się swych haseł. Nade wszystko ujrzał on okropne spustoszenie, spowodowane przez Niemców i dlatego rozumie on, że odbudowa cywilizowanego życia jest motywem silniejszym od jakiegokolwiek ideologii. Możemy teraz słusznie spodziewać się, że ustali on z nową Polską równie serdeczne stosunki, jak już ustalił z nową Czechosłowacją“.

W dalszym ciągu artykułu p. Morton porusza sprawy amerykańskie.

Ameryka unikała dotąd kryzysu powojennego dzięki temu, że nadmiar swych dóbr i żywności oddawała jako dary UNRRA, albo na podstawie kredytu.

Z końcem jednak UNRRA-y i brakiem dolara w zniszczonych krajach, Ameryce grozi klęska gospodarcza, gdyż jej wywóz się

kończy, a ceny spadną. Aby uniknąć katastrofy Ameryka musi w ciągu dwóch najbliższych lat zapatrywać w dolary, wszystkich nabywców jej towarów, bo jeśli nie będą oni mieli siły nabywczej, to ekonomia kapitalistyczna musi upaść. Dary UNRRA ocalały więc Amerykę, niż Europę po wojnie. Ameryka musi znaleźć nowe drogi odnowadzenia nadwyżek eksportowych, za które nikt nie może obecnie płacić natychmiast i w całości. A więc na dłuższą metę interesem Ameryki jest ożywić gospodarkę angielską, rosyjską i europejską.

Bevin dobrze wie, że dolary z pożyczki amerykańskiej rozchodzą się za szybko. Jeśli do wiosny 1948 r. nie znajdzie źródeł innych niż Nowy Świat, dolary się wyczerpią i Anglia będzie znów na łasce Kongresu, który jeszcze nie jest świadomy odpowiedzialności Ameryki, jako kraju wierzy cielskiego. To wyjaśnia tajemnicę, zmiany polityki Bevina. Nie oglądając się na ideologię, pragnął on nawiązać stosunki gospodarcze z Polską i Rosją. Stąd jego nerwowość na konferencji paryskiej. Choćby jednak ta polityka dała najlepsze wyniki nie rozwiąże ona wszystkich trudności. W Niemczech sytuacja jest coraz gorsza. Na to zresztą skarżą się wszystkie najpoważniejsze pisma. Chłop niemiecki nie chce dać żywności dla miasta za darmo. (Tak samo chłop francuski). Scalenie gospodarcze strefy angielskiej i amerykańskiej raczej pogorszyło, niż polepszyło sytuację. Anglicy wydali w zeszłym roku 150 milionów funtów na

opłacenie importu do swojej strefy. W tym roku wydadzą prawie tyle samo. A Niemcy klną, bo, jak twierdzą, a Anglicy im przyświadcza, ich stopa życiowa jest bliska głodu. Za swoje pieniądze zyskują Anglicy tylko nienawiść niemiecką. Prawie wszystkie dolary idą na ten cel. Rzeczywiście jest z czego się śmiać. Rosja nie ma dolarów, nie dokłada do swej strefy.

Co więcej gabinet angielski zamierza w dalszym ciągu uciąć żywność dla swych obywateli, by wystarczyło dla Niemców. Co za dzika miłość dla najgorszego wroga! Pożyczka amerykańska przeznaczona na odbudowę własne, idzie na Niemcy. Autor domaga się amerykańskiej polityki kredytowej na najbliższe dwa lata, jako jedynej wyjścia z dziwnej sytuacji. Po upływie tych dwóch lat Europa i Anglia będą już mogły prosperować o własnych siłach.

Listener podaje radiowe prze-

mówienie znanego wolnomyślicie- la, Bertranda Russella „Wiara racjonalisty”. Jest ono ciekawe pod tym względem, że wychodząc ze słusznych teoretycznych założeń i postulatów jest jednocześnie, nawet w teorii, bardzo ubogie i niepełne, nie mówiąc już o jego możliwościach praktycznego zastosowania.

Dwa są źródła jego światopoglądu, dwa postulaty. Na pierwszym miejscu idą dobre uczucia, coś, co my byśmy nazwali miłością bliźniego. Russel stwierdza, że między ludźmi jest dużo, za dużo niechęci, nienawiści, wrogości. Żeby tego uniknąć należy roz-wijać w ludziach uczucia przy- jaźni, a krępować uczucia nega- tywne. Na pytanie, dlaczego tak wierzy, odpowiada, że powołuje się on nie na autorytet nadprzy- rodzony, ale na pragnienie szczę- ścia. To pragnienie może być tyl- ko spełnione przy zachowaniu i pielęgnacji dobrych uczuć.

Drugim jego postulatem jest

prawdziwość wobec świata i sie- bie. Bez tego postulatów dobre u- czucia zostałyby pogrążone przez samo — oszustwo. Prawdziwość zaś oparta być musi na oczywi- stości, t. j. faktach zmysłowego doświadczenia i prawach logiki i matematyki włącznie z logiką in- dukcyjną używaną w nauce.

Na tym jednak kończą się słusz- ne, choć ograniczone wywody wy- bitnego, kto wie, czy nie najwięk- szego wolnomyślicieła naszych czasów. Bo oto dalej utrzymuje on, że — ja — że Bóg stracił swoją rację bytu dlatego, że od- kryto, iż ziemia nie jest środkiem świata. Tymczasem system heliocentryczny był znany przed Ptolomeuszem. Stąd więc wzięła się wiara w Boga, jeśli zawisła ona właśnie od systemu kosmicz- nego? Dalej odmawia p. Russel człowiekowi godności pierwszo- go stworzenia dla którego świat został stworzony. Powodują nim względy oszczędności. Tak jakby góry, choćby najwyższe, czy

słońca i gwiazdy, choćby najod- leglejsze, warte były choćby uśmiechu dziecka. Słowem czując ograniczoną i ubóstwo swej doktryny p. Russel zaczepia dok- trynę jego prawdy jak i tysiąc innych i jeszcze w dodatku siłą do ich urzeczywistnienia (czego u niego nie ma) na podstawie naj- dzikszych własnych przewidywa- ni. Nie podoba mu się Bóg, który stworzył istoty, tak podległe cierpieniu, nienawiści i okrucień- stwu. Nie widzi, mimo swego po- stulatów prawdziwości, że te ujem- ne cechy są tylko dziełem samychże ludzi, którzy „Umiłowali ciemność raczej niż światłość”.

Nawet, twierdzi, systemy okru- cieństwa powstały w atmosferze chrześcijaństwa. Nie widzi, że są one sprzeczne z chrześcijań- stwem. Drzewo jest winne, wed- ług niego, że je toczy robak. A w końcu, także praktykować bez Boga przyjazne uczucia? Czemu dotąd nie ma ich przykładu?

W świecie...

Wielka Brytania po krótkim okre- sie względnej równowagi go- spodarczej, znowu znalazła się w o- bliczu kryzysu. Szerokich różnic przy- czyn złożyło się na ten katastrofal- ny, jak utrzymują niektórzy komen- tatorzy, stan gospodarki angielskiej. Brak wielu niezbędnych surowców wskutek zbyt małej produkcji ko- palnianej lub niewystarczających środków transportowych, szybkie wy- czerpywanie się zapasu złota i de- wiza, zachłanne wykorzystywanie przyznanych przez USA kredytów, wreszcie zbyt liczna armia, kosta-ująca skarb państwa 960 milionów funtów rocznie — oto zaledwie część powodów wprowadzających dziś na wyspie atmosferę niepokoju.

Z chwilą, gdy jasne się stało, że kryzys jest niemalże nieuchronny (czego rząd zresztą nie ta!) znaczną część opinii brytyjskiej, a co ciekaw- sze również poważną grupą Labour Party, piastujących obecnie manda- ty poselskie, zaczęły coraz częściej poddawać krytyce politykę Atlee.

Zarzucono więc rządowi zbytnią uległość wobec USA, szczególnie je- śli chodzi o sprawę niemiecką. Przy- pomniano, że dzięki amerykańskiej polityce Anglia pokrywa ponad 50 proc. zapotrzebowania na żywność w Zachodnich Niemczech. Stąd wynika pewne usztywnienie stano- wiska brytyjskiego w stosunku do Ameryki, co można było zaobserwować na przykładzie przewlekłych rokowań wstępnych przed konfe- rencją waszyngtońską. Jednocześnie Wielka Brytania stara się przer- wać import towarów amerykań- skich, pragnąc powstrzymać odpływ dolarów. Kredyty amerykańskie są już zresztą na wyczerpaniu. Z bli- sko 4 miliardów dolarów pozostał 1 miliard w ciągu niespełna roku, a i ta suma, jak twierdzą dobrze po- informowani, zostanie podjęta naj- dalej za kilka miesięcy.

W ubiegłym tygodniu wydawało się, że przesilenie rządowe jest kwes- tnią najbliższych tygodni, a może dni. Wysuwano już nawet projekty gabinetu koalicyjnego. Niespodziewa- nie jednak Atlee zlikwidował fron- tę, powstałą przeciw niemu w łonie Labour Party i czując się od- tąd znacznie silniejszy, zapowiedział o- strą walkę z groźącym kryzysem. Atlee wprowadzi więc wkrótce no- we ograniczenie konsumpcyjne i sie- reg innych restrykcji, pozostaw- nił wysiłki, aby uzyskać zgodę Zwią- zków Zawodowych (szczególnie gór- niczego) na przedłużenie dnia pra- cy. Posunięcia te naogół nie napoty- kają wielkiej opozycji. Zato projekt redukcji sił zbrojnych ma wielu zażartych przeciwników z samym Bevinem na czele.

Od Administracji

Zawiadamy, naszych P. T. prenumeratorów że byliśmy zmuszeni podnieść cenę prenumeraty na zł 60.— miesięcznie, 180.— kwartalnie.

Pojedynczy numer kosztuje 20.— zł

Prosimy o wyrównanie różnicy ceny prenumerat do wysokości 60 złotych miesięcznie

„UDANY WYPAD”

(Kartka z działań bojowych Grupy Wypadowej „Rafała”)

Było to dnia 8 sierpnia 1944 r.

Obudzili nas o szóstej rano. Więcej niż bezczelność! Zaledwie przed dwiema godzinami wróciliśmy z wy- padu, a tu już, wstawaj, ubieraj się, szybko, szybko...

— Czy Brenn idzie! — spytał Zi- omicz, spoglądając na pupilkę grupy opartej o szafę.

Angielski zrutowy erkaem „Brenn” był cackiem jedynym na całe Powiśle, nic też dziwnego, że otaczaliśmy go szczególną opieką.

— Brenna zabierzcie — powie- dział krótko porucznik.

— A, ile amunicji?

— Weźcie trzysta.

— Co Aż trzysta? Panie porucz- niku, to znaczy, że szykuje się coś klawego?

— Uhm.

— Nooo, to trzeba nam było tak odrazu powiedzieć.

— W dziesięć minut musicie być gotowi. Nie marudzić. Maks weźmie amunicję. Gdzież on jest u diabła?!

— Panie poruczniku, Maks i Macz- ka leżą ranni. Wróciliśmy przed dwiema godzinami ze stacji pomp. Dostali z granatnika. Maks ma po- charataną wątrobę, a Maczka obie nogi.

Porucznik zasepił się i wyszedł bez słowa.

Za chwilę staliśmy już w pełnym uzbrojeniu przed Ubezpieczalnią na ulicy Smulikowskiego. Za nami usta- wiła się grupa „Leszka”. Porucznik Janecki zapoznał nas z sytuacją: w nocy, patrole niemieckie przedostały się z Karowej do kompleksu domów między Dobrą, a Browarną. Naszym obowiązkiem jest teren ten od nie- przyjaciela oczyścić.

Ruszyliśmy do Elektrowni. Pierw- szym naszym zadaniem było przej- ście ulicy Dobrej w taki sposób, by Niemcy nie mogli nas zauważyć. Wszyscy dobrze wiedzieli, że na ro- gu Karowej mają oni doskonałe lu- nety i przeprowadzenie oddziału zło- żonego z trzydziestu ludzi nie nale- żało do najłatwiejszych.

Dzień robił się coraz piękniejszy i słońce zapewne pomyliło się, grze- jąc nas jak w południe, gdy w rze- czywistości dochodziła dopiero go- dzina ósma. Całą godzinę straciliśmy bowiem czekając na terenie Ele- ktrowni.

Wąski i płytki rowek wykopany poprzez ulicę Dobrą nie gwarantował bezpiecznej przeprawy, gdyż nawet przy najlepszych chęciach zmuszał przez swą wąskość do wy- stawiania pośladdów przy pełzaniu, co Niemcy z zasady poczytywali so- bie za osobistą obrazę, puszczając od razu serie z dwóch erkaemów. Wła- śnie wczoraj jeden z kolegów dostał taki „delikatny” postrzał wyłącznie przez mięśnie, co jednak pozbawiło go swobody w siadaniu na dłuższy okres czasu. Trzeba dodać, że chod- niki w tym miejscu nie były wcale rozkopane i rowek głębokości dwu- dziestuparu centymetrów ciągnął się tylko przez jezdnię. Przeprawy utrud- niało jeszcze to, że w miejscu gdzie bieglej szyny tramwajowe, trzeba było robić t. zw. „delfina”, t. j. prze- bywać je wierzchem, gdyż spod spo- du nie sposób było się zmieścić. Przy tej okazji pokazywało się Niemcom nieco więcej niż siedzenie i skutki bywały fatalne.

Pierwszy poszedł oczywiście Na- łącz. Pełzał po chodniku za zwinnos- cią jaszczurki i po kilku sekundach niepewności znalazł się w rowie. Za nim już w odstępach co trzy metry ruszył cały oddział. Niemcy nie zau- ważyli niczego. Było to prawdziwym szczęściem.

Przy rogu Karowej stało niemiec- kie działo szturmowe typu „Horn- nisse”, jednakże i obserwatorzy te- go działka również nas nie dostrze- gli. Po przedostaniu się na drugą stronę ulicy, wyszliśmy przez bramę domu na jakieś podwórko, skąd dal- szy marsz układał się w tak kręte szlaki, wiodąc to strychami, to pi- wnicami, że w rezultacie nikt nie wie- dział gdzie się znajdujemy. Dopiero po chwili wyjaśnił nam Nałącz, że brama na lewo wychodzi na ulicę Browarną, przed nami zaś była Ka- rowa, a duża, żółta kamienica szkoły stanowiła główny punkt niemieckie- go oporu w tej części Powiśla. Te- ren przez nas przebyty został w no- cy obsadzony przez patrole niemiec- kie, które jak widać wycofały się przed świtem.

Porucznik Janecki zostawił grupę Nałączowi, rozstawiając uprzednio posterunki. Uwagę naszą zwróciła mała kłitka z napisem: „Skład drze-

wa i materiału opałowego”. Otwo- rziliśmy drzwi w jednej ścianie, po- tym w drugiej i oczom naszym ukaza- ło się nowe podwórko z zarosnię- tym gęsto i wysoko trawnikiem, a za nim sztachety i żółty dom. Miej- sce wspaniale nadawało się na po- zycję erkaemu. W oknie naprzeciw nas stał jak na dłoni niemiecki er- kaem typu „Ceska Zbrojovka”, zaś po za nim nie było w polu widzenia nic i nikogo.

Zbudowanie pozycji dla naszego erkaemu, z drewnianych klocków, trwało minutę. Pierwszy otworzył ogień podchorąży Teddy, strzelając z Bergmanna w powietrze. Na od- głos strzału przy niemieckim erkaem- ie ukazały się dwie głowy. Na to tylko czekaliśmy. Złomicz miał już dawno erkaem na muszce; ukazanie się dwóch postaci wywołało krótką serię z Brenna, a po niej dwie dłu- gie. Jeden z Niemców zniknął szyb- ko za oknem, drugi natomiast wyrzucił ręce w górę, gestem charak- terystycznym dla człowieka ranione- go. Niemiecki erkaem stał dalej spokojnie na oknie, tylko, że ze ścię- tą lufą. Seria Złomicza nie mogła lepiej trafić. Erkaem nieprzyjaciela nie nadawał się już do użytku. Niem- cy byli zdezorientowani. Całkowicie nie pojmowali skąd mogą padać strzały i wkrótce grupa kilkunastu Gebirgsjägerów wyskoczyła przed bramę. Blyskawicznie założyłem no- wy magazyn. Złomicz pociągnął spust i... trudno opisać efekt. Brenn grzmiał bez przerwy. Podałem nowy magazyn. Niemcy podskakiwali w śmiertelnych drgawkach, aż wreszcie przekonani, że strzały idą od strony Dobrej ukryli się za drzewami w ten sposób, że stanęli do nas bokiem. Pozwoliło mi to na założenie jeszcze jednego magazynu. Do serii Brenna dołączył się teraz terkot Bergman- na Teddy'ego. Gdy Niemcy zorien- towali się co do kierunku strzałów, było dobrze ponieważ. Nowe „rupy” zaszły podwórce, a okrzyki „Hilf!” świadczyły, że kilku od- niesio rany. Nie mogli jednakże ściąg- ać rannych spod obstrzału i wyco- fali się w liczbie sześciu. Około dwu nastu pozostało w trawie. Niektórzy z rannych próbowali pełznąć ku bra- mie. Oszczędziliśmy ich.

Dłuższy czas panowała zupełna ci- sza. Nikt nie strzelał. Niemcy bali się widać opuścić budynek. Ciska przeciągała się. Czyżby chcieli nas zaskoczyć, lub może okrzyk?

Wówczas zjawił się porucznik Śli- wa. Wyszedł on śmiało z szopy, w której stał Brenn i wyjrzał za pobl-

ski budynek, prawdopodobnie garaż, stojący na prawo od nas. Usłysze- liśmy okrzyk: „Halt i Hände hoch!” Śliwa momentalnie rzucił granat i skoczył do nas. Grant nie wybuchł. Zdarzało się to niestety granatom naszej rodzimej produkcji nader często. Niemcy wiedzieli już jednak- że gdzie jesteśmy. Postanowiłem rzu- cić im z dachu drugi granat. W tym celu wzięłem niemiecki trzonkowiec i wdrapawszy się po beczie na dach składziku odkręciłem zakrętkę, gdy w tej chwili eksplozja i pęd powie- trza zrzuciły mnie spowrotem na kra- wędź, a od Browarnej rozległy się strzały karabinowe.

Buda, w której znajdowaliśmy się stała się celem niemieckiego granat- nika. Nie pozostało już nic, jak tyl- ko wycofać się i zająć inne stanowis- ko.

Wyjaliśmy Brenna spod sterty drzewa. Lufa parzyła ręce. Zmiana lufy na zapasową było kwestią chwili. W tej sekundzie padł strzał i strażnik nasz stojący przy bramie od strony Browarnej zwałił się na ziemię, zbrzyglając beton krwią. Na- łącz ściągnął go ostrożnie za nogę. Chłopiec jednakże był nie do urato- wania. Kula przebiła mu głowę wy- chodząc przez kark. Za chwilę zja- wiły się nosze. Niemcy rozpoczęli regularne ostrzeliwanie podwórka, na którym staliśmy. Granaty padały jeden za drugim. Widocznie do współpracy zaproszono po stronie niemieckiej nowe granatniki.

Zjawił się porucznik Janecki za- rządzając odwrót. Jeszcze po drodze kilkakrotnie szczerknął ku nam czołg typu „Pantera”, który pojawił się na Browarnej, ale bez żadnego skutku. W niedługim czasie znaleźliśmy się przez rowku na Dobrej, który tym razem przebyliśmy pod obstrzałem.

Jednakże Niemcom nie udało się wziąć odwetu przy naszej przepra- wie. Nie pomogły lunety i wyborowi strzelcy. Dwudziestuparu ludzi prze- płynęło „delfinem” nad szynami tramwajowymi, a poprzednio nawet przeszły tędy nosze i nikt nie został ranny. Wprowadzie w czasie powro- tu pocisk z „Pantery” upadł u nóg Teddy'ego, nie wybuchając, ale był to wszak kurtuazyjny rewanz za gra- nat rzucony przez Śliwę.

Poza jednym ciężko rannym, któ- ry zmarł później w szpitalu, reszta powróciła cało. Natomiast Niemcy z całą pewnością zawiesić musieli kilka nowych hełmów na krzyżach a nad „Ceską Zbrojovką” niemiecki rusznikarz musiał bezradnie rozkła- dać ręce.

WSZYSCY, KTÓRZY by wie- dziali cokolwiek o losie następu- jących osób:

Plandowska Stefania
Głodowski Tadeusz
Szydłowski Jerzy
Stawińska Antonina
Skarbek-Tłuchowska Lucja
Ramisch Alfred
Jasiński Józef

albo też oni sami proszeni są o zostawienie w redakcji naszej wiadomości dla W. Lwskiego.

CIASNOTA CZY PO

W „Dziś i Jutro“ ukazują się czasami artykuły, które obudzić mogą zasadnicze obawy, jeśli chodzi o sposób, w jaki autorzy ich podchodzą do zagadnień kultury i sztuki. Musimy zrozumieć i uświadomić sobie rzecz arcyważną: oto katolicyzm polski po wojnie objął swym zasięgiem znacznie szerszy zakres dziedzin i zagadnień, niż to miało miejsce w Polsce przedwojennej. Przyczyny tego są proste: kataklizm wojenny podważył lub unicestwił wiele światopoglądów, postaw ideowych i ruchów politycznych, mało co z tego, co działało u nas przed wojną przetrwało w postaci niezmienionej do dzisiaj. Ponieważ zaś warunkiem sine qua non istnienia narodu jest ciągłość rozwoju jego życia intelektualnego i ideowego, więc oczy — wszystkich, zarówno wierzących, jak i „katechumenów“ jak i nawet często ludzi zupełnie indyferentnych zwróciły się na Kościół, jedyną instytucję, która przetrwała niezmieniona, nienaruszona i nieskażona przez kataklizm wojenny i która eo ipso jest dzisiaj ową arką przymierza między dawnymi i nowymi laty, arką, gdzie umiejscawiają swe nadzieje, ci wszyscy, którym leży na sercu ciągłość kultury polskiej. Siłą rzeczy zatem, mając przed sobą problem objęcia swym zasięgiem nowych dziedzin, musi Kościół rozbudowywać swój aparat, który mu takie działanie umożliwi. Chodzi tu o aparat intelektualno - artystyczny, o dziedzinę, w której — bądźmy szczerzy — katolicyzm polski przed wojną znacznie ustępował katolicyzmowi np. francuskiemu. Podbój nowych terenów nie nastąpi — rzecz prosta — od razu; potrzeba czasu na to, aby wytworzyć kadry katolickich artystów, intelektualistów, działaczy kulturalnych — aby katolicyzm a nie kto inny stał się patronem sztuki i kultury polskiej. Praca w tym kierunku musi być rozsądna i ostrożna, musi polegać nie tylko na budowaniu nowej kultury katolickiej, lecz również na przenikaniu katolicyzmu we wszelkie już istniejące ośrodki kulturalno - artystyczne.

Symbolem takiej polityki katolickiej jest dla mnie „Tygodnik Powszechny“, pismo, które zasięgiem swym objęło niezwykle szeroki wachlarz artystów i intelektualistów polskich, które notuje i ocenia pozytywnie każde osiągnięcie twórcze, nawet gdy dokonane ono zostało w obozie przeciwników ideowych, pismo, które, będąc sensu stricto katolickie nie rezygnuje z kontaktu z żadnym ośrodkiem kulturalnym, gdzie osiąga się jakieś nowe, świeże rezultaty. Oczywiście — dla prowadzenia tego rodzaju „polityki“ konieczna jest: po pierwsze znajomość sztuki i autonomicznych praw nią rządzących, po drugie — szerokość spojrzenia, tolerancja, wszechstronność. Tu leży istota sprawy: jednoznaczna i rygorystyczna dogmatyka Kościoła dotyczy dziedziny wiary i moralności, w dziedzinie sztuki i kultury możliwe są, sądzę, różne koncepcje, różne systemy estetyczne, które, choćby się nawet wzajemnie zwalczały, mogą razem pozostać w łonie kultury katolickiej. Co więcej — im bogatszy wachlarz kierunków, im żywsze spory między nimi, tym pewniejsza gwarancja pełni i autentyczności kultury katolickiej, obejmującej swym zasięgiem bogatą różnorodność form życia duchowego. Lecz powtarzam, aby do tego doprowadzić, trzeba absolutnie posiadać szerokość spojrzenia i tolerancję. Zaś najniebezpieczniejszym wrogiem ekspansji kulturalno artystycznej katolicyzmu dzisiaj jest — ciasnota.

Objawów tej ciasnoty dopatruję się, z wielkim niepokojem, w niektórych, niezbyt częstych zresztą, artykułach bardzo poza tym interesujących „Dziś i Jutro“. Ciasnota ta, przejawiająca się w fortyfikowaniu

pewnych tylko, jednostronnych koncepcji estetycznych i w uznawaniu pewnego, tylko dość prostego, a nawet czasem prymitywnego typu „literackiej moralności“ przypomina mi nie co przedwojenną działalność „Prosto z Mostu“. Całkowite podporządkowanie problemów estetycznych bardziej utylitarnym celom społecznym - narodowym, rygorystyczne rozpatrywanie wartości artystycznych pod kątem widzenia ich natychmiastowej, doraźnej użyteczności dydaktyczno - moralnej, dążność do zlikwidowania różnorodności form artystycznych i do wyprodukowania jednego modelu kultury — oto zasady głoszone przez wymienione pismo, zasady, które dziś nazwalibyśmy dążeniami do totalizacji kultury i sztuki. Czasem „Prosto z Mostu“ było bardziej liberalne, chcąc poprostu mieć w gronie swych autorów dobre pióra, przymykało oczy na fakt, że najwybitniejsi współpracownicy pisma z tą jego artystyczną ideologią nie wiele mieli wspólnego (Andrzejewski, Gałczyński). Mimo tej, z poczucia konieczności literackich wynikłej tolerancji redaktora, ciasnota widnokręgów estetycz-

coś z absolutnej, nieprzemijającej, najwyższej prawdy — czyż w tym, niedopowiedzianym założeniu „Kabały Historii“ nie kryje się wskazówka, gdzie niejeden z zawiedzionych, wyczerpanych, zgorzkniałych wędrowców życia może znaleźć po krzepienie, wzmocnienie — może nawet odrodzenie? Czyż strawa duchowa, jaką w postaci kontemplacji wielkiej sztuki włoskiej poleca polskiemu czytelnikowi Morstinowa tak zupełnie, z punktu widzenia społecznego i moralnego jest do pogardzenia? Nie sądzę, a raczej sądzę przeciwnie: celem sztuki jest właśnie wyjście poza doczesny, gruby utylitaryzm, jest skłonienie człowieka, wołu roboczego, aby podniósł czasem głowę ponad swej codziennej taczki, aby spojrzeć w górę, aby przypomniał sobie, że życie, praca, walka to są tylko środki do celu — cel jest poza życiem, źródło wiecznej doskonałości, do którego tutaj poprzez trud dnia codziennego mo-

„Książka Zofii Starowiejskiej-Morstinowej jest wykwitem obcej, niepolskiej atmosfery duchowej. Obliczona jest na możliwości niedostępne polskiemu typowi odczuwania i rozumienia zjawisk życiowych. Stąd jej niecodziennosc. Jest to niecodziennosc egzotycznego kwiatu przeszczepionego na nadwiślański grunt. Kwiat ten zadziwia innymi proporcjami korony i łodygi, uderza odmiennym krojem liści, ale uwiędnie szybciej od innych.

W Polsce „Kabała historii“ może tylko wzbudzić pewien niepokój absurdalności swoich wymagań krańcowego parnasizmu, wymagań przesadnego i historycznego w gruncie rzeczy umiłowania sztuki, które w takim wydaniu wyklucza twórczo społecznie i zdrowy psychologicznie stosunek do spraw naszego życia.“

Przedziwna konkluzja! Jeżeli, jak twierdzi p. Lichniak, książka Morstinowej jest „obca“, wyjątkowa na naszym terenie, odmienna, to

ralności czy lubowania się w zgniłości, jeśli pisarz przedstawiając wydarzenia zewnętrzne i wewnętrzne rzeczywiście odtworzył prawdę, to człowiek wrażliwy i chrześcijaнин zawsze znajdzie w tym obrazie, choćby nawet skrzywionym przez szyderstwo czy gorycz, moment pozytywny, znajdzie sens moralny i ideowy. Postulat wierności wobec samego siebie nie pozwała pisarzowi w imię jakichkolwiek względów, choćby to były błędnie zresztą pojęte względy moralne (błędnie, bo prawda nie może być wrogiem moralności), fałszować i okuczać rzeczywistość. Jeśli Borowski grał w Oświęcimiu w futbol, jeśli widział wokół „dekowników“ i kombinatorów, kobiety oddające się za różne świadczenia, zabawy, flirty, oszustwa, słowem — ogromne rojowisko plazmy ludzkiej, chcącej za wszelką cenę żyć, plazmy, którą instynkt samozachowawczy uchronił od nieustannej świadomości gigantycznej zbrodni, jaka dokonywała się obok, jeśli sam był jednym z tych, którzy potrafili uniknąć zatrucia otaczającym oparem zbrodni i stworzyć sobie fikcję normalnego życia, to gdy postanowił pisać o Oświęcimiu, musiał pójść za prawdą swojej wizji — to probierz jego uczciwości pisarskiej. Nie twierdzi on, że w Oświęcimiu nie było bohaterstwa czy ofiary — opisuje tylko rzetelnie to, co sam widział i przeżył, opisuje odważnie, boć odwagi wymaga przyznanie, że się w Oświęcimiu grało się w futbol czy flirtowało — łatwiej i wygodniej byłoby zrobić z siebie cierpiętnika. Oczywiście — brawura młodości każe Borowskiemu trochę przerysować, przestylizować ten obraz, lecz to nie szkodzi, odchylenie jest zauważalne. W jego anty-patetycznej wizji Oświęcimia straszliwa prawda wychodzi na jaw sugestyniej, niż w wielu „mroźnych krew w żyłach“ opisach — w dziedzinie perspektywy młodzieńczej noszalancji staje się rzeczywistość prawdą — wstrząsającą. Gdy czytam zdania: „Wróciłem z piłką i po dałem na róg. Między jednym a drugim kornerem za moimi plecami za gazowano trzy tysiące ludzi“ albo „Człowiek uśmiecha się ubawiony, widząc innego człowieka, któremu tak śpiesznie do komory gazowej“ — wtedy po raz pierwszy, po przeczytaniu wielu książek o obozach, widzę naprawdę grozę Oświęcimia, bo prawda wizji Borowskiego krzyczy z tych słów i obrazów, mimo niego — on nie jest tu bohaterem, jest po średnikiem, sługą prawdy — taka właśnie powinna być rola pisarza.

Niestety, tych wszystkich prostych i oczywistych spraw zdaje się całkowicie nie rozumieć p. St. P., który właśnie zacytowane powyżej zdania przytacza jako dowód cynizmu i niecnoty Borowskiego. Prymitywizm, brak orientacji w troche „cieńszym“, nie „łopata do głowy“ wkładającym rodzaju literackim, niezdolność zrozumienia cudzych komplikacji psychologicznych — oto potężna porcja tego, co nazwałem ciasnotą, a co jeszcze dosadniej nazwać by można. Gdy widuję takie rzeczy na łamach „Kuźnicy“ lub „Głosu Ludu“ — nie dziwię się. Ale w katolickim piśmie kulturalnym, tak antykulturalne, utylitarystyczne i „gleichszaltujące“ kategorie wartościowania jak w omówionych powyżej dwu artykułach uważam za zastanawiający błąd. I nie tylko za błąd: za mimowolne zapewne szkoderstwo sprawie kultury katolickiej w Polsce. Żałuję, że mogły się one ukazać w piśmie o tak wysokim poziomie, piśmie, które walczy przecież także o nową polską kulturę katolicką.

„Wolę polskie g... w polu niż fijołki w Neapolu“.

Odmienne nieco symptomy tego samego nastawienia, które przez bałwochwalczy kult użyteczności literatury (będący w istocie uleganiem wpływami koncepcji marksistowskich) doprowadza do zatraty zdolności wyczuwania jakichkolwiek wartości literackich, widzę w artykule p. St. P. poświęconego osobie P. Tadeusza Borowskiego młodego krytyka, autora wspomnienia z Oświęcimia p. t. „Ludzie którzy szli“. Zaznaczam zgóry, że ani mi p. Borowski ani swat ani brat i że zastrzegam sobie prawo atakowania go w przyszłości za różne jego nieprzemysłane i efekciarskie wystąpienia. W tym jednak wypadku jest on niewątpliwie ofiarą ataku literackiego neobarbarzyństwa; objawia się ono nawet w zewnętrznej formie artykułu p. St. P. — daleko jej do poprawności językowej, — od błędów i niezręczności stylistycznych, aż się tam roi. Ale przejdź do meritum sprawy.

Rolą pisarza, powiedział Conrad, jest „wymierzyć sprawiedliwość widzialnemu światu“. Postulat dążenia do prawdy wewnętrznej i zewnętrznej, postulat absolutnej szczerości wobec samego siebie, to są rzeczy, od których żadne względy zwolnic pisarza nie mogą. W obiektywnie przedstawionym obrazie świata nie można dopatrywać się negacji mo-

Stefan Kisielewski

Przeciw ciasnocie

nych i ideowo - literackich „Prosto z Mostu“ sprawiła, że najzdolniejsi jego pisarze stopniowo zaczęli się w nim dusić i kolejno opuszczali redakcyjne progi (Andrzejewski, Mićciński, Waldorff itd.). Gdy przypominam sobie polemiki ideowo - artystyczne, jakie z tezami „Prosto z Mostu“ prowadziłem niegdyś na łamach „Buntu Młodych“, stwierdzam, że tę samą polemikę należy przeprowadzić dzisiaj z cieniem owej przedwojennej „pseudo narodowo - katolickiej“ estetyki, cieniem, które (rzadko na szczęście) pojawiają się na łamach „Dziś i Jutro“ Cienie te należy przeproszyć, sądzę, właśnie w imię powodzenia ekspansji kulturalno - artystycznej katolicyzmu polskiego w dniu dzisiejszym, ekspansji, dla której tworzenie jakichkolwiek „ghett“ literacko - estetycznych jest zdecydowanie szkodliwe.

Przejdę teraz do przykładów konkretnych, których w Nr 24 „Dziś i Jutro“ widzę dwa: artykuł Zygmunta Lichniaka „O Kabały Historii“ oraz artykuł polemiczny St. P. „Na widowni“.

Nie chcę tu poruszać sprawy zarzutów literackich (styl itp.) jakie stawia p. Lichniak książce Zofii Starowiejskiej - Morstinowej „Kabała Historii“. Chodzi mi w tej chwili o ideologiczne założenia jego ataku. Zarzuca on Morstinowej skrajny estetyzm „parnasizm“, ucieczkę przed życiem w krainę chorobliwie uwielbianej sztuki, przez którą tylko, jak stwierdza w swej książce, autorka „...może odrodzić się człowiek, w niej tylko znaleźć drogę do doskonałości“. Pomijam już sprawę, że oświadczenie nie dopatruję się w „Kabały Historii“ naruszenia równowagi pomiędzy entuzjastycznym kultem dla sztuki, a poczuciem realnej odpowiedzialności społecznej, przeciwnie, np. w szkicu o Leonardzie da Vinci autorka wyraźnie daje wyraz swemu negatywnemu stosunkowi do indyferentyzmu moralnego i nieodpowiedzialności społecznej „boskiego Leonarda“. Lecz założywszy nawet czysty estetyzm tej książki (co, powtarzam, mocno jest naciągnięte), czyż system, który w doskonałości dzieł sztuki widzi odbicie doskonałości Absolutu, zaś w wysiłku twórczym artysty, odbicie procesu doskonałości moralnego, jest rzeczywiście systemem oderwanym, aspołecznym, moralnie nie przydatnym? To co jest piękne, jest zarazem moralne, w pięknie sztuki jest coś wiecznego,

znie dążymy jest czymś absolutnym, przy tym pięknym estetycznym i moralnie. Dać człowiekowi perspektywę Wieczności, przedsmak Absolutu, to, co Witkacy nazywał „dreszczem metafizycznym“ — oto zadanie wielkiej sztuki — kto mi powie, że jest to ujęcie poza społeczne, tego uznaję za, nieświadomą może swej roli, „wtyczkę“ materialistyczną w obozie spirytualistów. Najistotniejszym problemem życia katolika w społeczeństwie jest, sądzę, utrzymanie równowagi pomiędzy elementami życia społecznego i jego konkretnych wymagań z elementami poza doczesnymi, wiecznymi. Wielu pisarzy babrze się u nas w konkrety, czyż to tak bardzo źle, że znalazł się ktoś, co chce nam dać odczuć wiew nieskończoności? Z punktu widzenia katolickiego książka Morstinowej jest, według mnie, jak najbardziej potrzebna i to właśnie — społecznie potrzebna.

Podążmy jednak dalej za tokiem myśli p. Lichniaka. Istotę swego negatywnego stosunku do książki Morstinowej ujmuje on w następującym zdaniu: „Można sztukę wielbić, można ją miłować, ale nie wolno w jej imieniu stawiać przesady, chorobliwych przesądów, mimozowatych przeczuleń, nie mających nic wspólnego z tężyzną prawdziwego Piękna, z pięknem prawdziwego życia“.

Tutaj już widzę absolutną anarchię myślową, dowolność i niejasność terminów, a w środku — ideję zgoła barbarzyńską. Co to jest prawdziwe Piękno?! — proszę o definicję, które piękno jest prawdziwe, a które nie. Proust jest „chorobliwy, mimozowaty, przeczulony“ — lecz czyż nie stworzył z tych wszystkich „zgnitych“ elementów dzieła wielkiego, trwałego, dzieła, stanowiącego ważki etap w dążeniu ludzkiego ducha do autoświadomości? P. Lichniak zdaje się nie zna podstawowego aksjomatu estetyki formalistycznej. Aksjomat ten mówi, że dzieło sztuki oddziałuje estetycznie doskonałością układu elementów, nie jakością elementów: można ulepić posąg z błota, można stworzyć wielką, pozytywną konstrukcję literacką operując elementami napozór negatywnymi. Programowy kult „krzepy i tężyzny“ nikogo jeszcze nie wzmocnił, tępienie „sztuki zwyrodniałej“ nikogo nie ocaliło.

Do zupełnie już absurdalnych i anty kulturalnych wniosków dochodzi p. Lichniak w zakończeniu swego artykułu. Zacytuje je w całości.

Stefan Kisielewski

GLĄD NA ŚWIAT

Artykuł mój „O kabale historii”, ogłoszony w jednym z poprzednich numerów tyg. „Dziś i Jutro” doczekał się nielada zaszczytu. Sam Kisielewski wytknął jego domniemane błędy, zaściankowość i pływaczność, pisząc sążnisty elaborat „Przeciw ciasnocie”. W artykule tym zganił z wysokości swego piedestału, i „babranie się w konkretnie”, i „programowy kult krzepy i teźny”, i tych wreszcie, którzy szkodzą sprawie kultury katolickiej w Polsce.

Z właściwym sobie tupetem i wnikliwością poruszył kilka bardzo istotnych zagadnień, z właściwą sobie ogólnikowością i nonszalancją „podwiosła” zbył je pięknie brzmiącymi maksymami i zamaszystą frazeologią transparentowych hasań, wyciągniętych nawet z młodopolszczyznianego lamusa.

Uważa lektura artykułu p. Kisielewskiego mimo mało gruntownego ujęcia poruszanych tam myśli, składania do chwili głębszego namysłu ze względu na ich ważność i kluczowe znaczenie w rozważaniach nad problemem kultury i sztuki polskiej oraz sztuki w ogóle.

CETERUM CENSEO...

Ale przed roztrząsaniem tych spraw warto uporać się z jedną mniej ważną, co prawda, ale w naszych warunkach specjalnie palącą kwestią.

Chodzi tu o moment polemiczny.

O tym, że prasa polska ma na swoim sumieniu śmiertelny grzech gwałcenia karzynałnych zasad uczciwości i kurtuazji polemicznej, pisano i mówiono wiele. Pisano na wrodzie i mówiono na wiatr. Nie należy się dziwić publicystom, którym cel usłyszała środkami. Ale sprawa nabiera wyrazistości smutnego symptomu jeśli chodzi o teren publicystyki katolickiej. Tu istnieją, a raczej powinny istnieć zdecydowane postulaty. Postulatów tych nie skreśla pozorna konieczność reagowania na kpinę — kpina, na pływaczność — pływaczność, na prymitywizm i chamstwo — prymitywizmem i chamstwem. Powinniśmy mieć w sobie tyle kultury wewnętrznej, ile jej trzeba na wybaczenie przeciwnikom i głupich chwytów, na zachowanie postawy nakazującej szacunek, na uszanowanie w człowieku — człowieka. To nie patos i frazeologia, ale fundament zrozumienia głównych zasad uczciwości polemicznej. Nie można ośmieszać strony przeciwnej drogą inną, jak tylko przez dokładne zbitcie jej argumentów, nie można ułatwiać sobie sprawy fałszywym przedstawianiem postawy strony przeciwnej, nie można wreszcie czuć się więcej pewnym siebie, niż na to pozwalają rzeczywiste możliwości przygotowania myślowego. Naruszenie tych zasad pociąga za sobą barbaryzację życia literackiego, spłykanie problemów w bajorkach własnych ambicji, rozwadnianie marginaliów kosztem kwestyj merytorycznych. Jeżeli stoimy na straży kultury katolickiej w Polsce, musimy zobowiązać publicystów katolickich do przestrzegania zasad gwarantujących poziom ich polemiki. Poziom polemiki bowiem może być jednym z mierników nie tylko kultury literackiej, czy nawet kultury w ogóle, ale także sprawdzianem umiejętności realizowania pięknych zasad etycznych w trudnych sytuacjach życia codziennego.

I p. Kisielewski nie powinien o tym zapominać. Jego artykuł „Przeciw ciasnocie” sygnalizuje jednak niebezpieczeństwo dosyć groźne, bo skłonność ku trzem wyżej już wymienionym grzechom głównym. Do cudzego rachunku sumienia nikt nie ma prawa się wtrącać. Ale to nie jest już sprawa tylko p. Kisielewskiego. To sprawa pewnego ogółu, który p. Kisielewski na swoim odcinku reprezentuje. I tylko dlatego uważam za stosowne o tym tu wspominać. I tylko dlatego zwrócić uwagę na kilka charakterystycznych jego przewinień.

W polemice nie można dla ułatwienia sobie zadania fałszywie referować postawy strony przeciwnej. To upraszcza sprawę, ale dzieje się ze szkodą prawdy i spyczonego w ten sposób zagadnienia. Łatwo jest bowiem przedstawić kogoś jako szowinistę, symplaka i ciemnogrodziannina, a później zarzucić mu ciasnotę. Łatwo rozwiązywać uproszczone problemy. Ale granicę uproszczenia nie powinno przekraczać umiłowanie prawdy.

W artykule p. Kisielewskiego wyraźnie widać brak tego czynnika demarkacyjnego.

W swojej ocenie „Kabały historii” przyrównałem tę książkę do egzotycznego kwiatu, który nie zdołał zaaklimatyzować się na gruncie polskim. Uznałem ją za książkę, która wyrosła w obcej atmosferze. Stwierdziłem po prostu jej duchową niepolskość, inność, obcojęzyczność.

P. Kisielewski, uogólniając pośpiesznie zagadnienie, stwierdza: „P. Lichniak uważa, że kultura polska jest czymś zamkniętym, ustalonym, że ani akaparować nowych elementów ani niczego się już uczyć nie powinna — tylko smażyć się we własnym sosie”.

Boże mój! Jakże wstrętnym i ciasnym ujrzałem się w zwierciadle tych słów. I już nie będę mógł siadywać nad ukochanym Schillerem, ani zachwycać się Majakowskim i będę musiał przerwać tłumaczenie Humboldta i Winklera — tylko smażyć się we własnym sosie.

Żarty na bok. P. Kisielewski uprosił sobie pracę. Nakreślił moją postawę szowinisty - barbarzyńcy w oparciu o tekst, który nawet minimalnych nie dostarcza mu ku temu danych. Nie chodzi mi tu, rzecz prosta, o obronę mojej postawy. To nikogo nie interesuje i w chwili obecnej nie ma znaczenia. Chodzi mi o przykład, o plastyczne przedstawienie techniki błędu w uproszczeniach. Bo oto skazawszy mnie na szowinistyczną zaściankowość, p. Kisielewski tłumaczy dalej z wielkim tupetem i nieoglednością, dlaczego tak się stało. „Jest to minimalistyczna sugestia ciasnego, przestarzałego, megalomańskiego, materialistycznego w istocie nacjonalizmu”.

Czy nie za szybko wnioski i nie za dalekie uproszczenia? I ciasnota, i materializm, i megalomania, i nacjonalizm.

P. Kisielewski poszedł tu na obrażającą jego poziom łatwiznę, na uproszczenie tak dalekie, że aż zbliżające się do najpospolitszej — fuzerki polemicznej. Ponaciągał fakty, okupując sobie prawdopodobnie niesmak tego wyczynu w równej mierze niedowcipną, grubą, jak i chybioną pointę, zawartą w tetmajerowskim wierszyku o flołkach w Neapolu.

Nie zaszkodzi to ani mnie ani tygodnikowi „Dziś i Jutro”. Zaszkodzić jednak może reputacji wybitnego publicysty, który reprezentować powinien publicystykę w najlep-

szym stylu, bo publicystykę katolicką.

Już z tego chociażby względu powinien także p. Kisielewski zaniechać wystarczająco może dowcipnych dla lichych publicystów, ale degradujących publicystykę o większych ambicjach chwytów polemicznych, które polegają na łapaniu za słówka i na czczym werbalizmie. Pozorna ich błyskotliwość nic do dyskusji nie wnosi. Przykład:

Użyłem w jednym ze zdań zwrotu „prawdziwe Piękno”. Używało go wielu wybitnych krytyków katolickich (choćby Calvet w „D'une Critique Catholique”) i używa wiele jeszcze dzisiaj. Intuicją wyczuwa się doskonale znaczenie tego terminu. Nie jest to zresztą jedyny termin w słowniku estetyki, który podyktowała intuicja i intuicja tłumaczy. Publicysta unikający łatwizmy powinien o tym pamiętać. P. Kisielewski nie omija jednak okazji, aby — według niego

ga w tym, że mogą one i powinny stać się punktem wyjścia (brzoń, B-że, dojsia) gruntownej dyskusji, którą przykład p. Kisielewskiego powinien uchronić od pośpiesznego generalizowania, symplifikowania i mieszania zagadnień.

Dyskusja ta nie da prawdopodobnie definitywnego rozstrzygnięcia, bo do problemów w niej poruszanych ludzkość dopiero dojrzewa, ale wyprostuje może pojęcia błędne, wprowadzi w nie należyty porządek, sprecyzuje możliwe dokładnie stosunek świata katolickiego do poruszanych kwestyj, ułatwiając tym samym w przyszłości ich właściwe rozwiązanie.

Z multum problemów muśniętych niefrasobliwie przez p. Kisielewskiego w pierwszym rzędzie zasługiwaby na rozpatrzenie trzy problemy zasadnicze, uwikłane u niego w plecionkę frazeologii i marginalnych uedytacyj.

1) Katolickie pojmowanie piękna i kryteria jego oceniania.

2) Jaką rolę i w jaki sposób odgrywać powinna sztuka w realizacji Królestwa Bożego na ziemi, albo inaczej: jak światopogląd katolicki ujmuje funkcje sztuki i jakie to na nią nakłada obowiązki?

3) Jak się przedstawia konto plusów i minusów „przedwojennej pseudo - narodowo - katolickiej estetyki”, czyli: jaką należy zająć pozycję między szowinizmem a kosmopolityzmem kulturalnym, aby sprawa kultury katolickiej w Polsce wyszła na tym jak najlepiej?

Trudno powstrzymać się od zastrzeżenia już raz wypowiedzianego. Nikt nie ma nawet zamiaru kuścis się o rozstrzygnięcie tych problemów w ramach jednego a nawet kilku choćby największych artykułów. Chodzi o to, żeby problemy te wyciągnąć z zalewającego je werbalizmu i postawić na gruncie rzeczowej dyskusji.

PROBLEM PIERWSZY.

Pan Kisielewski już we wstępie swego artykułu stwarza niepewny grunt dla zbudowania na nim bardzo ryzykownej formuły estetyczno - etycznej usiłującej określać katolicki jego zdaniem stosunek do piękna. — Powiada on, że „jednoznaczność i rygorystyczna dogmatyka Kościoła dotyczy dziedziny wiary i moralności, w dziedzinie sztuki i kultury możliwe są, sędzę, różne

konceptje, różne systemy estetyczne, które, choćby się nawet wzajemnie zwalczały, mogą razem pozostać w łonie kultury katolickiej”. Zdanie to może stać się odskocznią do oryginalnego, ale i niebezpiecznego salto mortale myślowego. Zapomina tu bowiem pan Kisielewski o jednym bardzo istotnym zastrzeżeniu. W łonie kultury katolickiej mogą nawet powinny istnieć, różne konceptje estetyczne, choćby pozornie sprzeczne między sobą, ale nie powinny i nie mogą być one w sprzeczności z ogólną zasadą etycznej, która jest tutaj czynnikiem nadrzędnym, uzależniającym, zobowiązującym. Ta zasada, to postulowane rozumienia co jest złe, a co dobre i uznanie wszystkiego, co dobre, a potępienie wszystkiego co złe. Bez zapewnienia tej zasady etycznej, praw kontroli nad zasadami estetycznymi można dojść do punktu, w którym uzna się piękno za niepodległe żadnym innym kryteriom prócz estetycznych, a co gorzej, za siłę tworzącą dla siebie nowe prawa etyczne, niezależne od kryterium dobra i zła. I rzeczywiście, pan Kisielewski godzi się na taką hipotezę, uznając ją za swój nowy dogmat. „To, co jest piękne — mówi on — jest zarazem moralne”. Tak wykonał tragiczne salto mortale. Wyzwolił piękno spod nadrzędnej zasady etycznej, dla wszystkich katolickich koncepcji estetycznych obowiązującej.

Piękno jest zamkniętym w sobie światem, do którego już nie mają dostępu żadne sprawdziany natury etycznej, tym samym jest światem, za który katolicyzm nie może przyjmować żadnej odpowiedzialności, którego nie może obejmować sferą swoich wpływów, dobrodziejstw i planów. Bo jakże? „To, co jest piękne, jest zarazem moralne”. Zespół walorów estetycznych klasyfikuje tu zjawisko w kategoriach etycznych. Czynniki podrzędne mają wpływ decydujący na nadrzędne. To błąd logiczny, wynikły z uproszczenia zagadnienia bardziej skomplikowanego, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Ma też on poważniejszą, niż można by przypuszczać, konsekwencje moralne. Autonomizując piękno przez nadanie mu prerogatyw, tworzących odrębną moralność sztuki, podważa on autorytet moralności zasadniczej, jedynej i istotnej, opartej na kryterium dobra i zła.

Ta zasadnicza moralność — bez symplifikowania jej zasad — da się streścić w pewniku: to, co jest dobre — jest dobre, to co jest złe — jest moralne, to, co jest złe — jest niemoralne. Jeżeli jest zasada, która głosi, że to, co jest piękne — jest moralne, głosi ona, że to, co jest piękne — jest dobre. Zespół wartości estetycznych awansuje wtedy do rangi wartości etycznych. Swoista, ad hoc skonstruowana moralność sztuki usurpuje sobie prawa moralności istotnej, zamiast zrezygnowawszy ze swych autonomicznych ambicji, podporządkować się jej całkowicie i bezwzględnie. Zniknęłyby wtedy wiele nieporozumień. I można by wtedy jasno, w oparciu o chrześcijańskie kryteria dobra i zła, precyzować swój stosunek do najistotniejszych problemów estetyki, a przede wszystkim do piękna. Tylko to, co jest moralne, może być piękne, przyczem wartość etyczną nadaje pięknu ta wartość moralna, jaką ono oprócz sumy wartości estetycznych zawierać musi, aby być w pełni doskonałe. I nie to, co jest piękne sprawia, że jest zarazem moralne, ale udział tego co moralne, sprawia, że to, co bez owego wkładu wzdawałoby się piękne, jest piękne rzeczywiście.

Zrozumienie i uznanie tych zależności wykluczyłoby kurczone przyznanie się przytoczonego przez pana Kisielewskiego aksjomatu, że „dzie-

C. d. na stronie 6-tej.

Zygmunt Lichniak

Błędy uproszczeń

chyba — zabłysnąć. I pyta: „Co to jest prawdziwe Piękno? Proszę o definicję, które piękno jest prawdziwe, a które nie”. Gdybym był zwolennikiem tego typu łatwizny polemicznych, odrzuciłbym Kisielewskiemu pytanie „A czym w ogóle jest piękno?” i ofiarowałbym konia z rzędem za jednoznaczność, cisłą i zadowalającą odpowiedź. Ale to byłoby właśnie upraszczenie zadania. Trudniejszym, ale mimo wszystko wykonalnym chyba przedsięwzięciem jest przypomnienie p. Kisielewskiemu, że

primo: w wartościowaniu zjawisk estetycznych pierwszorzędną rolę odgrywa intuicja i właśnie na niej się opierając wiele praw i terminów, nieujętych w ramy zwartych logicznie definicji można i należy rozumieć;

secundo: nawet minimum owej intuicji (przy minimum dobrej woli) wystarczy do zrozumienia, że przez „prawdziwe Piękno” należy rozumieć to, które nie podlega żadnej dyskusji, w odróżnieniu od piękna, które opierając się na pseudowartościach, usurpuje sobie prawa i tytuł piękna rzeczywistego, prawdziwego;

tertio: nie można degradować swego stanowiska w ustalającej się hierarchii polskich publicystów katolickich, takimi, jak omówiona przykładowo, łatwiznami polemicznymi.

Nie można także tolerować nad sobą panowania manieri „podwiosowej”. P. Kisielewski zaś zdecydowanie ulega Kisielowi. Stworzywszy karykaturę mego stanowiska ze złe ukrywaną satysfakcją stawia kropkę nad i w drastycznym, a więc wymarzonemu dla niego wierszyku Tetmajera. Wątpliwej wartości efekt satyryczny okupiony został zniekształceniem prawdy i pękającym w szwach naciąganiem faktów. Jak na tak wysokiej klasy publicystę, jakim mimo dość licznych potknięć jest p. Kisielewski, to stanowczo za drogo.

Całą sprawę tych fałszywych akcentów polemicznych mógłbym właściwie zamknąć w formie lakonicznego sprostowania, że „nieprawdą jest jakobym...”, natomiast prawdą jest, iż... „Jeżeli jednak uważałem za słuszne poświęcić jej trochę więcej czasu i miejsca, to przede wszystkim dlatego, że należy na całą tę historię z „Kabałą historii” i na replikę p. Kisielewskiego spojrzeć

jako na smutną zapowiedź bardzo przykrego i bardzo groźnego zjawiska, które oby nigdy nie zaawansowało do rangi problemu publicystyki katolickiej.

Wątpliwości co do poziomu polemiki p. Kisielewskiego, obciążonej poważnymi błędami uproszczeń nie wyczerpują wszystkich zastrzeżeń, jakie budzi jego artykuł, wymierzony przeciw ciasnocie.

Budzą się wątpliwości znacznie głębszej natury. Dotyczą one już nie symptomatycznych łatwizm, uogólnień i tanich błyskotliwostek polemicznych, ale problemów ogólnonarodowych i ogólnoudzkich.

Głębka tych problemów i ich olbrzymie wymiary nie przerażają p. Kisielewskiego. Pobija on rekordy symplifikatorstwa. Zagadnienia bardzo skomplikowane symplifikuje z takim tupetem, nonszalancją i beztróską, jak gdyby rozwiązywał jedno ze swoich felietonowych problematek. Wynik tego przedstawia się dosyć smętne. Błędy uproszczeń domagają się rozpaczliwym głosem niezbędnej korekty. Cała ich zasłu-

ga w tym, że mogą one i powinny stać się punktem wyjścia (brzoń, B-że, dojsia) gruntownej dyskusji, którą przykład p. Kisielewskiego powinien uchronić od pośpiesznego generalizowania, symplifikowania i mieszania zagadnień.

Dyskusja ta nie da prawdopodobnie definitywnego rozstrzygnięcia, bo do problemów w niej poruszanych ludzkość dopiero dojrzewa, ale wyprostuje może pojęcia błędne, wprowadzi w nie należyty porządek, sprecyzuje możliwe dokładnie stosunek świata katolickiego do poruszanych kwestyj, ułatwiając tym samym w przyszłości ich właściwe rozwiązanie.

Z multum problemów muśniętych niefrasobliwie przez p. Kisielewskiego w pierwszym rzędzie zasługiwaby na rozpatrzenie trzy problemy zasadnicze, uwikłane u niego w plecionkę frazeologii i marginalnych uedytacyj.

1) Katolickie pojmowanie piękna i kryteria jego oceniania.

2) Jaką rolę i w jaki sposób odgrywać powinna sztuka w realizacji Królestwa Bożego na ziemi, albo inaczej: jak światopogląd katolicki ujmuje funkcje sztuki i jakie to na nią nakłada obowiązki?

3) Jak się przedstawia konto plusów i minusów „przedwojennej pseudo - narodowo - katolickiej estetyki”, czyli: jaką należy zająć pozycję między szowinizmem a kosmopolityzmem kulturalnym, aby sprawa kultury katolickiej w Polsce wyszła na tym jak najlepiej?

Trudno powstrzymać się od zastrzeżenia już raz wypowiedzianego. Nikt nie ma nawet zamiaru kuścis się o rozstrzygnięcie tych problemów w ramach jednego a nawet kilku choćby największych artykułów. Chodzi o to, żeby problemy te wyciągnąć z zalewającego je werbalizmu i postawić na gruncie rzeczowej dyskusji.

PROBLEM PIERWSZY.

Pan Kisielewski już we wstępie swego artykułu stwarza niepewny grunt dla zbudowania na nim bardzo ryzykownej formuły estetyczno - etycznej usiłującej określać katolicki jego zdaniem stosunek do piękna. — Powiada on, że „jednoznaczność i rygorystyczna dogmatyka Kościoła dotyczy dziedziny wiary i moralności, w dziedzinie sztuki i kultury możliwe są, sędzę, różne

konceptje, różne systemy estetyczne, które, choćby się nawet wzajemnie zwalczały, mogą razem pozostać w łonie kultury katolickiej”. Zdanie to może stać się odskocznią do oryginalnego, ale i niebezpiecznego salto mortale myślowego. Zapomina tu bowiem pan Kisielewski o jednym bardzo istotnym zastrzeżeniu. W łonie kultury katolickiej mogą nawet powinny istnieć, różne konceptje estetyczne, choćby pozornie sprzeczne między sobą, ale nie powinny i nie mogą być one w sprzeczności z ogólną zasadą etycznej, która jest tutaj czynnikiem nadrzędnym, uzależniającym, zobowiązującym. Ta zasada, to postulowane rozumienia co jest złe, a co dobre i uznanie wszystkiego, co dobre, a potępienie wszystkiego co złe. Bez zapewnienia tej zasady etycznej, praw kontroli nad zasadami estetycznymi można dojść do punktu, w którym uzna się piękno za niepodległe żadnym innym kryteriom prócz estetycznych, a co gorzej, za siłę tworzącą dla siebie nowe prawa etyczne, niezależne od kryterium dobra i zła. I rzeczywiście, pan Kisielewski godzi się na taką hipotezę, uznając ją za swój nowy dogmat. „To, co jest piękne — mówi on — jest zarazem moralne”. Tak wykonał tragiczne salto mortale. Wyzwolił piękno spod nadrzędnej zasady etycznej, dla wszystkich katolickich koncepcji estetycznych obowiązującej.

Piękno jest zamkniętym w sobie światem, do którego już nie mają dostępu żadne sprawdziany natury etycznej, tym samym jest światem, za który katolicyzm nie może przyjmować żadnej odpowiedzialności, którego nie może obejmować sferą swoich wpływów, dobrodziejstw i planów. Bo jakże? „To, co jest piękne, jest zarazem moralne”. Zespół walorów estetycznych klasyfikuje tu zjawisko w kategoriach etycznych. Czynniki podrzędne mają wpływ decydujący na nadrzędne. To błąd logiczny, wynikły z uproszczenia zagadnienia bardziej skomplikowanego, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Ma też on poważniejszą, niż można by przypuszczać, konsekwencje moralne. Autonomizując piękno przez nadanie mu prerogatyw, tworzących odrębną moralność sztuki, podważa on autorytet moralności zasadniczej, jedynej i istotnej, opartej na kryterium dobra i zła.

Ta zasadnicza moralność — bez symplifikowania jej zasad — da się streścić w pewniku: to, co jest dobre — jest dobre, to co jest złe — jest moralne, to, co jest złe — jest niemoralne. Jeżeli jest zasada, która głosi, że to, co jest piękne — jest moralne, głosi ona, że to, co jest piękne — jest dobre. Zespół wartości estetycznych awansuje wtedy do rangi wartości etycznych. Swoista, ad hoc skonstruowana moralność sztuki usurpuje sobie prawa moralności istotnej, zamiast zrezygnowawszy ze swych autonomicznych ambicji, podporządkować się jej całkowicie i bezwzględnie. Zniknęłyby wtedy wiele nieporozumień. I można by wtedy jasno, w oparciu o chrześcijańskie kryteria dobra i zła, precyzować swój stosunek do najistotniejszych problemów estetyki, a przede wszystkim do piękna. Tylko to, co jest moralne, może być piękne, przyczem wartość etyczną nadaje pięknu ta wartość moralna, jaką ono oprócz sumy wartości estetycznych zawierać musi, aby być w pełni doskonałe. I nie to, co jest piękne sprawia, że jest zarazem moralne, ale udział tego co moralne, sprawia, że to, co bez owego wkładu wzdawałoby się piękne, jest piękne rzeczywiście.

Zrozumienie i uznanie tych zależności wykluczyłoby kurczone przyznanie się przytoczonego przez pana Kisielewskiego aksjomatu, że „dzie-

C. d. na stronie 6-tej.

to sztuki oddziaływanie estetycznie doskonałością układu elementów, nie jakością. Zrozumiałym stał się fakt, że oddziaływanie estetyczne jest nierozdzielnie związane z etycznym tak, jak treść („jakość”) z formą („układem elementów”) stanowi jedyną całość, o ile oczywiście nie są dla nas wystarczające próby zdefiniowania formy przez „jakość”, a treści przez „coś”. Porzucenie tego ciasnego aksjomatu, sugerującego nierealną w gruncie rzeczy możliwość wartościowania zjawisk estetycznych w oderwaniu od nadających im właściwy sens wartości etycznych, daje nam bardzo dużo. Przede wszystkim: pogiębia się nasz stosunek do dzieła sztuki, które wartościami moralnymi, stanowiącymi jego sine qua non, zobowiązuje nas nie tylko do admiraacji zmysłowej, ale i kontemplacji umysłowej, żywej reakcji psychicznej; następnie — zyskuje na wyrazistości nasza katolicka postawa wobec dzieła sztuki i próby jego oceny mająca za punkt wyjścia stała i niezmiennie kryterium dobra i zła, opierająca na nim i sumująca w bilansie ogólnym jego wyrok. Z uwagami dotyczącymi czysto zewnętrznych walorów estetycznych; wreszcie — zobowiązuje to twórców do większego wzywania się w „jakości” swych dzieł, zamiast do jednostronnego doskonalenia „układu elementów”.

Wszystko to zdaje się przemawiać za słusznością takiego, a nie innego ujmowania związku między pięknem a dobrem, a więc związku opartego, na zależności piękna od dobra, nie zaś na konstytuowaniu dobra przez piękno. Nie można mówić, że „jeśli coś jest piękne, jest zarazem moralne”, bo równoważy się wtedy wartości różnych kategorii, bo popada się w konflikt z chrześcijańskim pojmowaniem moralności. Dlaczego?

Dlatego, że uważając piękno za czynnik umoralniający sam w sobie — jak chce tego pan Kisielewski — a godząc się z łatwą do przeprowadzenia na przestrzeni wieków obserwacją, że różnie było ono pojmowane i różnie jeszcze pojmowane będzie, zgodzić by się trzeba, że i to, co moralne i moralność sama jest od danego wycinka czasowego zależna, względna. A to jest fatalne, bo moralność jest jedna, wieczna i nieprzemijająca.

I gdy pan Kisielewski mówi, że „w pięknie sztuki jest coś wiecznego, coś z absolutnej, nieprzemijającej, najwyższej prawdy” — dla nas jest rzeczą prostą, że przeczuwa tu autor i ogólnie (choć raz ogólnie), przez nieokreślone „coś” ujmując udział „jakości” etycznych w tym, co piękne. Bo tylko one są absolutne, nieprzemijające, wieczne.

Tyle, jeśli chodzi o pierwszy problem. Uwagi te daleko są od apodyktyczności i przypuszczeń, że wyczerpują całkowicie kwestię, że rozwiązują ostatecznie problem. Nie zakładają one sobie tego celu. Wszelkie ujęcie poruszonego zagadnienia będzie wymagało niejednej jeszcze korekty, niejednego uzupełnienia.

DRUGI PROBLEM

Jaką rolę i w jaki sposób odgrywać powinna sztuka w realizacji Królestwa Bożego na ziemi, albo inaczej: jak światopogląd katolicki ujmuje funkcje sztuki i jakie to na nią nakłada obowiązki?

P. Kisielewski w swoim artykule daje bardzo prostą odpowiedź:

„Celem sztuki jest... wyjście poza doczesny, gruby utylizm, jest skłonienie człowieka, wołu robocze-go, aby podniósł czasem głowę ponad codzienną taczki, aby przypominał sobie, że życie, praca, walka, to są tylko środki do celu — cel jest poza życiem, źródło wiecznej doskonałości, do której tutaj, poprzez trud dnia codziennego mozolnie dążymy, jest czymś absolutnym,

przytem pięknym estetycznie i moralnie”.

Określenie tak proste, jak niebezpieczne. Niebezpieczeństwo jego polega na jednostronności ujęcia zagadnienia. Pozbawienie sztuki jakiegokolwiek funkcji społecznych jest jej karygodnym zubożeniem i — unicestwieniem. Upatrywanie jednego jej celu w zwalczaniu grubego utylizmu i odrywaniu spo-wszechniejszej myśli ludzkiej ku wyższym regionom — to za wąski cel i za łatwy. Sztuka mająca wielkie możliwości ekspansywne, oddziaływająca na całego człowieka, musi pozostać w centrum życia, w centrum jego najistotniejszych spraw i nie wolno jej pod pozorem mylnych haseł od życia i jego ciężarów uciekać. Nie wolno jej tęsknot wleczystych tylko budzić, musi je zaspakajać. Musi życie codzienne tłumaczyć na wieczność, chwycić w nim to, co nieprzemijające, co piękne, a bliskie i człowiekowi, i niebu. Pokazywać na niebo każdy potrafi — ale prowadzić ku niemu — mało kto. Prowadzić trzeba nie linią pionową jednego wzlotu, jednego zryw, ale krętym labiryntem codziennych trosk, codziennych, przyziemnych zmartwień, bo taka właśnie linia kręta powikłana i przyziemna, a nie prosta i pionowa jest właściwa ludzkim kategoriom, ludzkim możliwościom.

Nikt tu nie chce ściągać pięknych ideałów sztuki z niebios ekstazy estetycznej na padół prymitywizmu, nikt nie chce obniżania poziomu i gwałcenia wolności twórczej, strzelistości pegazowych skrzydeł. Chodzi tylko o stwierdzenie faktu, że prawdziwie wielka sztuka łączy niebo z ziemią, ale od ziemi nie ucieka, z niej czerpie swe soki żywotne, jej przemawia językiem, jej problemy roztrząsa, z nią jest organicznie niemal związana, jej, ludziom i ich dobru służy. Tak służy. Nie ma dla niej w realizacji Królestwa Bożego piękniejszego udziału, szczyt niejszego celu, trudniejszych zadań. Wypływa to zresztą z przedstawionego uprzednio rozumienia piękna. Zawarte w nim „jakości” etyczne wyrastają z troski o dobro ludzkie, ludziom służą, służąc tym samym idei bożej.

Proklamowanie lepiej lub gorzej zakonspirowanej sztuki dla sztuki jest w ramach światopoglądu katolickiego absurdem. A upatrywanie celu sztuki w zwalczaniu uty-

lizmu jest niczym innym, jak tytko maskowaniem zamierzeń artystycznych, które były celem same w sobie.

Dotychczas upraszczano sobie rozumienia i dyskusje na ten temat prostacko biegunowym przeciwstawieniem dwóch możliwości. Albo się jest wielkim artystą, wielbiciel i uprawiającym wielką sztukę i wtedy przebywa się w nieosiągalnych regionach, gardząc tłumem, ten dencją, utylizmem i innymi „kulami u nóg”, albo rezygnuje się z wielkich ambicji artystycznych, głosząc „rozumiałstwo”, przystępność, zejście ku masom, formowanie frontów do tego i owego uzgadniania zamierzeń artystycznych z wymogami chwili itd. Innej drogi nie ma. Aut — aut. Nic dziwnego, że takimi „autami” nie można daleko zajechać. Z jednej strony stałe święte oburzenie, dotkniętych geniuszów, których się kępuje, którym się nie pozwala, którym się podcina skrzydła, z drugiej zaś strony mroczna i pochmurna obojętność masy, która nie rozumie, która nie kontaktuje, która nie dosięga...

A prawda sztuki jest pośrodku.

Może ona i musi zstąpić w wir życia, stać się ziemską, pożytkowną, realnie owocującą osiągnięciami doraźnymi, nie obliczanymi w perspektywie wieków, bo ta jest zbyt mglista. Nie może jednak i nie straci ona nic ze swej niebiańskości, polotu, stratosferyzmu. Ale będzie to możliwe wtedy — chciałoby się dodać: i tylko wtedy, lecz ostrożność powstrzymuje — gdy artysta zostanie tłumaczem życia, gdy będzie się starał o wnikienie w jego najgłębsze podłoża, sondując je swoim kryterium niezachwianym, chrześcijańskim dobra i zła, gdy sztuka zarzuci snobistyczne zamiary stworzenia świata, gdzie obcym wstęp surowo wbroniony, gdy sztuka rozszerzy sferę oddziaływania nie kosztem swoich jakości, ale większym nakładem pracy zbyt parnasizujących twórców.

Wszystkie te wywody mają cel raczej teoretyczny. Wszystkie te cechy bowiem dają się sumować w postawie artystycznej współczesnych pisarzy literatury obcej i polskiej. Wyjątki są nieliczne. I sam p. Kisielewski z oburzeniem występuje przeciw tym, którzy trzymają się na uboczu życia społecznego, osłabiając tym samym wymowę aktualności,

życiowej prawdy swych dzieł („Przeciw pisarzom” Tyg. Powsz. nr 122).

Reasumując uwagi dotyczące drugiego problemu stwierdzić wypadnie, że zarówno pierwsze jego rozwiązanie — sztuka jest wartością sama w sobie, dla siebie istnieje —, jak i rozwiązanie drugie — sztuka wyrzeka się swych ideałów dla uprzedniego służenia ludzkości — są uproszczeniami, przeprowadzonymi za cenę błędu. Najlepszym i trafnym wydaje się rozwiązanie trzecie: sztuka w służbie idei bożej, w dziele realizacji Królestwa Bożego, dokonywanej na tym odcinku przez podnoszenie zjawisk życiowych do rangi problemów i wielkich, oczyszczających przeżyć.

Podając te wnioski, należało by powtórzyć zastrzeżenia wypowiedziane przy podsumowywaniu uwag dotyczących pierwszego problemu.

TRZECI PROBLEM

Jak się przedstawiają plusy i minusy „przedwojennej pseudo - narodowo - katolickiej estetyki”, czyli jaką należy zająć pozycję między szowinizmem, a kosmopolityzmem kulturalnym, aby sprawa kultury katolickiej w Polsce wyszła na tym jak najlepiej?

Przed próbą odpowiedzi warto przed wszystkim wyjaśnić sam termin. Co to jest „pseudo - narodowo - katolicka estetyka”? Jakie są jej zasady i postulaty? Czy w ogóle taka estetyka istnieje?

P. Kisielewski usiłuje tym terminem zdyskredytować, zresztą zupełnie słusznie, ten pogląd, według którego tylko to, co polskie, a już w najlepszym wypadku przede wszystkim to, co polskie jest piękne i tylko to, co sensu strictly katolickie — dobre. Nie wiem, czy właściwie ten termin interpretuje. Autor go bliżej nie wyjaśnia. Opierając się jednak na tym, że został przez niego miedzy wierszami za jednego z reprezentantów takiej postawy uznany, (a postawę moją określono jako postawę „szowinisty i zacządnego ortodoksyjnego”), zdaje się, że nie odbiegam daleko od myśli autora.

Nikt mu nie może wziąć za złe pojęcia tak rozumianej „pseudonarodowo - katolickiej estetyki”. Przeciwnie. Jest to zupełnie zrozumiałe objaw troski o dobro kultury katolickiej w Polsce. Ale łączy się z nim pewna obawa, z podłoża tej samej troski wyrosła. Żeby nie wpaść z deszczu pod rynnę, z szowini-

styczno - ortodoksyjnych opłotków w mgiełki nieokreśloności kosmopolityzmu kulturalnego. Skutki i jednej i drugiej przypadłości są fatalne dla wielkiego rozwoju. Pierwsza rodzi megalomanię narodową, druga — narodowy kompleks niższości. I jednego, i drugiego każe unikać prawdziwa troska o kulturę katolicką w Polsce.

Dlatego dotyka się tej sprawy tutaj, że niektórzy z publicystów i krytyków polskich, unikając ograniczenia się ciasnotą szowinizmu, podpadają w drugą ostateczność. Piją tu wyraźnie do p. Kisielewskiego, ale twierdzą, że jest to zjawisko symptomatyczne i za przykład mógł by posłużyć nie tylko autor artykułu „Przeciw ciasnocie”. Zbytnią łagodność wobec szlachetnych przemysłników obcych dóbr duchowych może być znacznie szkodliwsza, niż zbyt surowość. Nie jestem — jak mi to suponowano — zwolennikiem jakichś ustalonych modeli kulturowych, nawet mojemu „pseudonarodowo - katolickiemu” podniebieniu nie smakuje nasza kultura, mażąc się we własnym sosie, ale przypuszczam, że wymianę kulturalną oprócz by u nas należało na bar dziej ustalonych i przemysłnych zasadach.

Jedną z naczelnych zasad normujących te sprawy, winna być zasada zaspakajania potrzeb kulturalnych kraju i Kościoła Katolickiego w Polsce z własnych kapitałów kulturowych. Nie wykluczać napływu waluty obcej, ale zmieniać ją, przetwarzać na walutę krajową, wykluczyć obieg fałszywej monety przesadnych wpływów, przesadnego faworyzowania jednych kręgów kulturowych kosztem drugich. Bez stawiania problemu na koturnach patosu, bez uciekania się do generalnych rachunków sumienia, w wyniku których „pawiem narodów byłaś i papuga”, bez podkomorzyńskich utyskiwań na „francuskich diabłów”, stwierdzić trzeba, że tak łapczywie pompujemy w siebie przez cały okres nasze go wzrostu kulturalnego wpływu obce, tak zachłannie entuzjazmujemy się wszystkim, co przywiezione w walizce oklejonej banderolami za granicznych hoteli, tak intensywnie wyciągamy oczy ku Paryżowi, Moskwie, Londynowi czy Nowemu Yorkowi, że prześlepiamy wiele bogactw rodzinnych, kopalni jeszcze nieodkrytych, a że wszeczmiar godnych eksploataowania. Jest to problem ekcyficznie polski. Jest to problem wieczysty. Jest to problem aktualny. Wymaga on, szczególnie w dzisiejszych czasach, specjalnej czujności, specjalnego zrozumienia dla tego, co piękne u innych, i co piękne u nas.

Ciekawa i płodna chyba w następstwa byłaby rewizja naszych dokonań, jeśli chodzi o użytkowanie ukrytego w naszym kraju, w jego regionalnych i etnograficznych właściwościach potencjału kulturowego. Ciekawie przedstawiałby się wykres wzrastania udziału elementów przyswajanych z kultur obcych dla podnoszenia naszego poziomu kulturalnego. Nic nie upoważnia w tej chwili ogólnych wniosków — przypuszcze do skryształizowania ich w apodyktycznej formie stwierdzenia. Jeśli jednak nie obejdzie się ich drogą łatwego dowcipusku lub złośliwostek, opłaci się trud ich przemyślenia i rozpatrzenia na tle konkretnych logicznie uszeregowanych faktów z historii naszej kultury.

Te trzy problemy stają przed koniecznością gruntowniejszego ich ujęcia i wielostronniejszego oświetlenia, niż to, na jakie mógł się zdobyć ten artykuł. Jeżeli jednak troska o dobro kultury katolickiej w Polsce nie jest pustym frazesem, znajdzie się wiele możliwości wspólnej pracy nad teoretycznym i praktycznym ich rozstrzygnięciem.

Mieczysław Kurzyński

Zygmunt Lichniak

Androkles i Lew

Dnia 28 lipca odbyła się w Teatrze Muzycznym w Warszawie premiera bajki scenicznej Shaw'a „Androkles i Lew”. Sztukę wystawił zespół studentów wyższych uczelni, rozpoczynając tym samym działalność Teatru Akademickiego. Warto więc chwilę zastanowić się nad pierwszymi wynikami, a może nawet wysnuć z nich prognozyki na przyszłość.

Powstawanie w dużych ośrodkach kulturalnych zespołów amatorskich obok scen zawodowych, wynika najczęściej bądź z prekursorskich dążeń, nurtujących środowiska miłośników teatru, bądź też z chęci poznania techniki pracy scenicznej przez ludzi związanych z problematyką sceny. Wydaje się, że w inicjatywie grup studenckich przy Bratniej Pomocy Studentów U. W., które stworzyły Teatr Akademicki, rolę odgrywały oba czynniki. Niejednakowo jednak zostały uwzględnione.

W premierze „Androklesa i Lwa” trudno dopatrzeć się chęci podkreślenia lub modernizacji któregoś z elementów sceny. Interpretacja sztuki Shaw'a jest niewątpliwie nowoczesna z charakterystycznym dla wszystkich niemal ostatnich insceniacji szerszym uwzględnieniem żywiołu muzycznego na scenie, nie jest jednak wynikiem jakiejś określonej, a odmiennej od dotychczasowych — koncepcji artystycznej.

Stwierdzenie to nie ma bynajmniej charakteru zarzutu. Nie wolno zapominać, że omawiana premiera, to zarazem pierwszy występ zespołu, wielokrotnie zmienianego w swoim składzie personalnym, a tym

samym wchodzącego dopiero w świat sceny i po raz pierwszy poznającego jej problematykę od strony realizacyjnej.

W tych warunkach wydaje się słusznym założenie, jakie przypuszczalnie miał kierownik imprezy p. Zbigniew Sawan, by stopniowo przechodzić od poznania istniejących chwytów scenicznych do własnego wyrazu artystycznego.

Osiągnięty został natomiast naprawdę drugi cel teatru amatorskiego. Jego członkowie, przeważnie studenci polonistyki lub uczestnicy studiów plastycznych znaleźli się w samym centrum spraw, które stanowią poważną część ich przyszłej pracy. Wprawdzie p. Sawan twierdzi, że w przyszłości zastosowałby inny system wychowawczy i innych oczekiwałby rezultatów, jest to jednak, jak się zdaje jedynie wynik rezerwy w stosunku do własnego osiągnięcia.

To, co zobaczyliśmy na scenie Teatru Muzycznego, przekracza naogół przeciętny poziom amatorski. Wybijają się zwłaszcza niektóre postacie, pozwalając wierzyć w rozwój imprezy. I tak wymienić należy dobrze odtworzoną postać Megery (Irene Prudilówna), Spinthę (Stefan Treugutt) i bohaterkę sztuki Lawinię (Barbara Białostocka). Poza tym w raziste kreacje stworzyli: pp. Stanisław Rustecki w roli Ferroviusa, Edmund Kujawski jako porucznik i Adam Perzyk w charakterystycznych rolach Poganiacza wołów i Zawiadowcy cyrku. Zupełnie poprawny, choć nie rozumiejący postaci uległego męża był p. Stanisław Górski jako Androkles. Wydaje się, że

temperament tego aktora nie bardzo jest dostosowany do łagodnego charakteru chrześcijańskiego przyjaciela zwierząt. Zdecydowanie słabsza była pozostała część zespołu, a zwłaszcza statyści, dobrani w ostatniej chwili i niedoszkoleni w swych rolach.

Poważnym mankamentem przedstawienia były opóźnione wejścia, a także sekundy zwłoki przy rozpoczęciu kwestii w dialogach. Raziły także partie nieme aktorów, pozbawione całkowicie mimiki i gestów. W ogóle ruchy stanowiły najgorzej opracowaną dziedzinę gry aktorów i nawet dobra w recytacjach Lawinia, w tym zakresie była siaba.

Dekoracje i kostiumy zasługują na wyróżnienie, tym więcej, że za sobó środków dostępnych dla Teatru Akademickiego był naprawdę skromny.

Koncepcja inscenizacyjno - reżyserska wydaje się całkowicie słuszną. P. Sawan miał tutaj nielada zadanie, gdyż „Androkles i Lew”, jak wiele sztuk Shaw'a, łączy w sobie najprzeróżniejsze elementy. Sztuka pomyślana zasadniczo jako groteska zawiera bardzo poważną problematykę psychologiczną, a także filozoficzną, co utrudnia stworzenie harmonijnej całości przedstawienia.

Specjalne słowa należą się inicjatorce i kierownicze technicznej imprezy p. Barbarze Bormannównie która dosłownie z niczego i przy skromnym jedynie poparciu Ministerstwa Kultury powołała do życia instytucję, której istnienie wydaje się w pełni uzasadnione pierwszymi osiągnięciami.

Tydzień kulturalny

MUZYKA APRILIA PACELLEGO
Dnia 9 lipca odbył się na dworze papieskim uroczysty koncert poświęcony dziełom Aprilia Pacellego, przodka Papieża Piusa XII.

Audycja zaszczycona została obecnością Ojca Świętego i odbyła się w obecności członków dworu, korpusu dyplomatycznego i przedstawicieli prasy.

Aprilio Pacelli, do niedawna zupełnie zapomniany w swej ojczyźnie wybitny kompozytor włoski z XII st. przypomniany został przed kilku laty przez Mateusza Glińskiego, który poświęcił mu monografię wydaną nakładem Drukarni Watykańskiej. Prowadząc dalej swe stu-

dia rozpoczęte jeszcze w Polsce, Gliński odnalazł w bibliotekach włoskich i zagranicznych dzieła Pacellego i przystąpił do wydania Opera Omnia. Pierwszy tom ukazał się właśnie obecnie w pięknym nakładzie Spółki Wyd. Alberto De Sanctis i wówczas pierwsze wykonanie wybranych dzieł zafiarowane zostało Papieżowi, który z wzniesieniem wysłuchał muzyki swego przodka.

Dzieła wykonane potwierdziły w sposób jednoznaczny słynne zdanie o Pacellim, wypowiedziane przez Glińskiego w jego monografii. Pacelli, który przez obecnych współczesnych stawiany był w jednym rzędzie z największymi klasykami swej epoki, jak Monteverdi i Frescobaldi (por. słownik Starowol-

skiego w ustępie poświęconym Chylińskiemu), został zapomniany głównie dlatego, że w roku 1601 opuścił urząd Maestro di Cappella w Bazylice Św. Piotra wskutek zaproszenia Zygmunta III i udał się do Warszawy, gdzie przez swe całe życie do r. 1623 piastował urząd dyrektora kapeli królewskiej.

Muzyka Pacellego po prostu zaskoczyła obecnych głębią inwencji, napięciem uczucia i doskonałością formy. Wykonawcami byli znany zespół Cantori delle Basiliche Vaticane, założony przez Glińskiego podczas okupacji niemieckiej i składający się z najlepszych członków Kapeli Syksyntyńskiej i Cappella Giulia z Bazyliki Św. Piotra.

Papież po wysłuchaniu muzyki dziękował dyrygentowi i członkom zespołu. Koncert powtórzony zostanie niebawem dla szerszej publiczności w Istituto Pontificio di Musica Satora po czym Gliński uda się prawdopodobnie ze swym zespołem w tournée po Italii i zagranicę.

CŁO NA KULTURĘ

Dziwne rzeczy dzieją się na poczcie. Przez pewien czas nie wolno było w ogóle wysłać książek za granicę. Dlaczego? Nikt nie zgadnie. Chyba dlatego aby literatura polska była jeszcze mniej znana, niż dotychczas i aby rozmaite koła emigracyjne mogły twierdzić, iż nic się w tej Polsce nie pisze. Potem pozwolono wysłać książki, ale tylko po jednej i do wagi pół kg. Ergo większa książka za granicę nie dojdzie.

Wprawdzie odnośny przepis mówi, że skoro książka jest ciężka, to mimo to wysłać ją można, ale na poczcie nie pracują same Arystotelezy, więc na ogół przepis traktuje się dosłownie. Choćby się kto wściekł.

A na dobitkę cło. Nikt nie zgadnie, które książki podlegają cłu. Pewien nam znajomy wysłał dziesięć takich samych książek. Za trzy zapłacił cło, za siedem nie. Bądźże tu mądry. Cło wcale nie małe. W pewnym wypadku wyniosło trzy czwarte ceny książki.

Czy naprawdę ocenie wysyłanych książek nie jest przesadą? Nawet Francuzi, którzy mają bzika na punkcie dewiz, uważają, że coś jest wart „imperializm kultury”. My nie. Śmieszne żądanie! Po co o Iwaszkiewicz czy Gołubiewie ma kto wiedzieć poza Polską?!

Stanisław Podlewski

Przemarsz przez piekło ¹⁴⁾

Ostatnie chwile Starego Miasta

Laska trafiła na wykruszoną lukę w murze. Stąd to złudzenie. Przed sobą nie ma nikogo. Zaczyna wołać głosem jaknajśliszszym: Wolniej, wolniej! Odpowiada mu tylko echo. Głos jego grzęźnie w tupocie i w monotonnym plusku setek nóg, posuwających w grząskiej mazi.

W WIEŻACH HALUCYNACYJ I PRZEWIDZEŃ

Major zdaje sobie jasno i wyraźnie sprawę, że jeśli zatrzyma się lub padnie, ten niekończący się wąż ludzi, ogarnięty myślą ratowania własnego życia, nie zauważy go w ciemności, włóczy go w małą kanał i przedzieje po nim. Instynkt samozachowawczy, drzemający dotąd głęboko w każdym człowieku, każe mu wyczerzać wszystkie siły. Nie może się zatrzymać, ani na chwilę. Monotonny plusk wody przechodzi w jego umyśle w bicie dzwonu w jego głowie.

Nadludzkie wyczerpanie stwarza złudy i imaginacji. Rozgorączkowana wyobraźnia wzniesła przedziwne postacie. Halucynacje i przewidzenia. Zjawia się przed jego oczyma jakaś dziwna postać. To zbliża się to znów oddala. Nagle jakieś ocknienie, mrużenie oczu, przed rannym oficerem błyszczy światło słychać głos przewodnika, który zatrzymał się. Więc dobrze idą. Z tymi słowami, jak gdyby nowa napa wchodzi w zboliałe członki. Wciąż idą naprzód. Znowu powtarzają się halucynacje, ale w trochę innej formie.

Wchodzi w krainę zasnutą słoneczną mgłą. Od wysokich sosen o pniach, jak gdyby z rozpalonego mosiądzu wieje cichy, przeciągły szum. Delikatne gałązki białopieniennych brzoźek, lekko szeleszczą listkami. Podmokła łąka ugina się pod każdym stąpnięciem.

Nagle mocne szarpnięcie za ramię.

— Gdzie jesteście?

— Pod Bristolem.

— Cicho tam, cicho...

Znowu monotony plusk wody pod nogami. Idą cały czas schyleni i zgarbieni. Głowa, której nie można wyprostować cięży, jak ołów w karku straszliwy ucisk, krzyż rozsadza nieludzki ból. Od ciemności i wyczerzonego wypatrywania oczy kłują. Major goni resztkami sił, czuje że go opuszczają, serce wali jak młotem, brak tchu. Lada chwila wpadnie w błoto. Naraz w ciemnościach rozlega się ostrzeżenie.

— Uwaga wąż! Niemcy!

Ostrzeżenie przebiega całą linię. Teraz muszą zatrzymać się, nadsłuchiwać i cofać. Może to jest najbardziej uciążliwe i przykre. Ludzie ślizgają się, wpadają w błoto, zbijają się tworząc zatory. Na powierzchni ulicy są Niemcy. Przy władze słychać ich miarowy krok, zgrzyt podkutych buciorów, to znów szwargot i śmiechy, wydaje się jak gdyby mówili:

— My wiemy, że tam jesteście. Nie lądźcie się, że uda wam się uciec.

Nerwy odmawiają posłuszeństwa. Ludzie zaczynają krzyczeć. Wydaje się im, że właśnie za nimi rzucili Niemcy granaty. Przewracają się więc w wodę i w błoto. Nikt nie podniesie, nikt nie może ich wyminąć w wąskim kanale. Znowu zatrzymują się wyczerpani, niektórzy już dość mają tej udręki. Rozlega się samobójczy wystrzał pistoletu, ktoś pana

z pluskiem w czarną wodę i nikt nie próbuje ratować. Ludzie przechodzą dalej po nim. Za chwilę nie ma na wierzchu po nim śladu.

Inni, gdy tylko zatrzymają na chwilę — opierają się o śliskie ściany kanału i momentalnie zasypiają.

Kilka kroków dalej nad głową znajduje się otwór — wąż. Płuca chciwie chwytają odrobinę świeżego powietrza. Oczy łapią odrobinę światła dziennego. Tą przestrzeń trzeba przebiec, powiada przewodnik. Z największą rezygnacją mówi mjr. Zawisza: „Nie dojdę”.

Podch. Grom i łączniczka Roma podchwytyją go silnie pod ramiona i na chwilę zatrzymują się. Coraz to ktoś pyta dlaczego nie idą naprzód. Czekanie nic nie da, przedłuża tylko mękę. Major zbiera wszystkie siły. Przechodzą szczęśliwie ten zagrożony odcinek. Teraz słychać głos przewodnika.

— Niski kanał.

Zawisza czuje teraz, że jeśli się schyli, to wpadnie w błoto w tę cuchnącą czarną maz. Nie podniesie się.

Waż ludzki posuwa się nieprzerwanie.

Rozlega się przejmujący krzyk jakiegoś mężczyzny.

— Krzysztof gdzie jesteś, nie zostawiaj mnie! Krzysztof, Krzysztof!

I znowu głos kobiety:

— Ratunku, na Boga, moje dziecko!

To padła młoda kobieta. Uparła się przejść wraz z dzieckiem do męża, który gdzieś walczy w oddziałach powstańczych w Śródmieściu.

Dochodzą do Wareckiej. Jasna smuga światła wpada do kanału. Kres upiornej wędrówki.

Czoło kolumny zatrzymuje się. Teraz tylko grupkami po trzy — cztery osoby, mogą posuwać się naprzód. Trzeba zachować jak największą ciszę.

Trwa to bardzo długo. Znowu rusza jakaś trójka. Idą w ciemności przed siebie. Nie widzą nic. Naraz po sklepieniu zaczyna pelzać jakiś błysk. Zbliża się. Ktoś idzie ku nim. Światło jest bliżej i bliżej.

— O Jezu — krzyczy kobieta.

Widzi przed sobą postać w mundurze niemieckim w hełmie. W jednej ręce trzyma rewolwer, w drugiej latarke.

— Więc nie udało się dojść i są w rękach Niemców. Któryś z powstańców ładuje pistolet. Trzyma palec na cynglu. Niech tylko się szkop odezwie. Ktoś pierwszy z idących podnosi ręce w górę, zanim drugi i trzeci.

Postać zbliża się, rośnie i nagle mówi tak po staromiejsku:

— Te, bracie — opuść grabę. Co ja takiego jestem, żebyś podnosił przedemną ręce. Swojak jestem, Polak, powstaniec jak i ty. Westchnienie ulgi.

Jest to żołnierz wysłany przez dowództwo dla pilotowania idących. Wszyscy są tak wyczerpani zjściem, że nie mogą iść. Proszą o odpoczynek. Dopiero po chwili ruszają dalej. Kanał jest niski. Ludzie są u kresu sił. Nogi stają się jak z waty. Coraz to ktoś pada twarzą w cuchnącą wodę.

— Jeszcze kilka kroków — ulicy Wareckiej — mówi pilot.

WIELE POWIETRZA I WIELE SŁONCA

Rzeczywiście czuć miły, rzeźki powiew wiatru. Wdziera się jasny promień słońca. Silne młode ręce chwytają po kolei idących, podnoszą i windują ku górze. Znowu klamy, wąż, światło, słońce, powietrze. Wiele, wiele światła, wiele powietrza. Płuca wciągają je chciwie, zachłannie. Trudno patrzeć, bolać oczy.

Inny tutaj świat. Stoją jeszcze całe domy, jeszcze są szyby w wielu oknach, drzewa zachowały jeszcze i nieprzebrane bogactwo barw jesieni.

Przed włazem stoi przewodnik. Na twarzy jego znać utrudzenie, ale i zadowolenie, którego już z rzędu kolumnę przeprowadził szczęśliwie. Spogląda jak wychodzą w największym trudzie dziwne postacie, o zapadłych twarzach i o błędnych oczach, ludzie jaskiniowi, oblepieni i unurzani w błocie, ociekający lepka mazią.

Przy władze czołówka fotograficzna A. K. filmuje wychodzących obrońców Starówki. Jakaś wysoka brunetka, z charakterystycznym zarostem nad wargą, zapewne literatka jakoma na wrażenia, odzywa się do otoczenia.

— To sceny, jakby żywa ilustracja z „Nędzników”. Boże, ja zawsze myślałam, że tak wyglądać może tylko fantazja poetycka. Pamiętam, jak Valjean w ostatnich chwilach rewolucji, gdy pada barykada, wynosi Mariusza za ulkami Paryża, na brzeg Sekwany.

Ze studzienki włazu wydobywa się głęboki przytłumiony jęk.

Wyciągają rannego powstańca. Przeniosła go 18-letnia sanitariuszka Justyna z „Wigier”. Skąd się w niej wzięło tyle siły i woli, wytrzymałości i twardości, gdy wielu mężczyzn padało ze zmęczenia.

Major o lasce podchodzi do przewodnika, ściska mu rękę i dziękuje.

W trzecią rocznicę śmierci odprawiono zostaną Msze św. za dusze poległych w walkach powstańczych

ś. † †

ZDZISŁAWA PIASECKIEGO

poległego dnia 7.VIII.1944 r., Msza św. w dn. 7.VIII b. r., o godzinie 9 w kościele Zbawiciela,

ś. † †

HALINY Z KOPCIÓW PIASECKIEJ

poległej dn. 14.VIII.1944 r., Msza św. w dn. 14.VIII b. r. o godz. 8,30 w kościele Zbawiciela,

O czym zawiadamiają

Rodzina i Koledzy

— Proszę przyjąć od nas to na pamiątkę za uratowanie tylu ludzi i wręcza mu srebrną papierosnicę.

Ale ten nawet nie czyni ruchu ręką.

— Dziękuję nie mogę przyjąć, Pan przecież rozumie.

— Niech Pan przyjmie.

— Chętnie przyjmę, ale skarpetki, gdyż nogi mam przemoczone, a czeka mnie droga powrotna.

OAZA SPOKOJU I BEZPIECZENSTWA

Nieustannie wydostają się kanałami nowe grupy mężczyzn i kobiet.

Grupkami odprowadzają ich patrole na ulice Moniuszki do Adrii, znanej stołecznej restauracji, upamiętnionej w latach okupacji bohaterką śmiercią Jana Krysta.

Znajduje się tutaj stołówka powstańca.

Uchodzący ze Starówki mogą się umyć, otrzymują czystą bieliznę, nawet ubranie.

Pełetki sprawnie rozdzielają garnuszki z gorącą kawą i ogromne pajdy chleba z marmoladą.

— Po raz pierwszy — wspomina jeden z powstańców od chwili rozpoczęcia akcji, poczuliśmy, że dla kogoś z poza naszego grona jesteśmy warci trudu. Po walkach na Starówce, gdzie jedynym zadaniem była ochrona życia i bezpośrednie zniszczenie przeciwnika, tutaj czuło się pierwszy raz wywalczoną wolność.

Żołnierze Starówki ze zdziwieniem obserwowają objawy nieomal normalnego życia w Śródmieściu.

Przez ulice przewija się ruchliwy, podniecony tłum ludzi. Elegancyjnie ubrani oficerowie A. K. i A. L. w towarzystwie porządnie ubranych kobiet. Mają te dziewczęta jeszcze czas na dbanie o powierzchowność.

Na podwórzach bawią się dzieci.

Na murach porozwieszane są rozporządzenia cywilnych władz powstańczych. Sklepy rozdzielają żywność i materiały tekstylne. Zaimprovizowane w kawiarniach kantyny żołnierskie rozbrzmiewają wesołymi głosami i skoczonymi melodiami.

Wyswietlają krótkometrażowe filmy z „ostatnich” walk powstańczych, nakręcone przez czołówkę filmową.

Odbywają się poranki artystyczne, z udziałem powstańczej orkiestry symfonicznej, pod batutą prof. Śledzińskiego. Biorą w nich udział artyści warszawscy: Lubieńska, Calma, Ekier, Finze, Krukowski i inni.

Rzuca się w oczy ogromne bogactwo prasy.

W pobliżu gmachu PKO, na Świętokrzyskiej, dostrzega któryś z żołnierzy ze Starówki gazetę ścienną „Polska Walczy”.

Znajduje w niej przemówienie radiowe Delegata Rządu na Kraj, w piątą rocznicę najeżdzu niemieckiego na Polskę.

Zwołuje wszystkich, Odczytuje im głośno: „...Wierzyliśmy w triumf sprawiedliwości. I doczekaliśmy się wreszcie...”

— „Słyszycie?” — odzywa się do kolegów. „Nie ma co? Ładnego doczekaliśmy triumfu!”

„...Kapitulacja Rzeszy jest kwestią niedalekiej przyszłości. W cień poszły inne fronty — na Zachodzie dojrzewa zwycięstwo, które da światu wyzwolenie i pokój...”

— „Czekajcie, nie odchodźcie... — to jest najlepsze...”

c. d. n.

Z zagadnień gospodarczych

PLAN BEVERIDGE'A

Problem ubezpieczeń społecznych powstał na tle stosunków społecznych, które panowały w Europie Zachodniej, a przede wszystkim w Anglii w okresie kapitalizmu przemysłowego. Historia socjalna ostatnich stu lat jest bowiem w znacznej mierze historią wysiłków klas pracujących dokonanych w walce o ubezpieczenie społeczne.

Po pierwszej wojnie światowej problem powyższy stał się już wyraźny, jednakże rozwiązanie jego było połowiczne w większości państw Europy, za wyjątkiem ZSRR gdzie już w 1922 roku wprowadzony został w życie kodeks pracy przewidujący na dużą skalę ubezpieczenia społeczne. Dlatego też, na podkreślenie zasług dążenia do przeprowadzenia daleko idących reform w tej dziedzinie w Wielkiej Brytanii będącej do niedawna twierdzą kapitalizmu i krajem bardzo złych warunków życia robotników.

Z początkiem bieżącego stulecia coraz powszechniej zaczęto sobie zdawać sprawę w W. Brytanii, że w społeczeństwie uprzemysłowionym nędza i ubóstwo nie są nieuniknionym wynikiem naturalnego porządku rzeczy i że można im zapobiec odpowiednią akcją socjalną. Od tego czasu datuje się wolny, ale nieprzerwany rozwój ustawodawstwa socjalnego, który przyczynił się do znacznej poprawy egzystencji sześciu warstw narodu.

W wyniku dążeń do udoskonalenia akcji socjalnej specjalny komitet pod przewodnictwem Sir Beveridge'a opracował w latach 1941 — 1944 projekt dalszych reform. Tak zwany plan Beveridge'a może być uważany za monumentalny akt na drodze poprawy bytu świata pracy w Anglii. Oto jego zasadnicze wytyczne.

Celem ubezpieczeń społecznych jest danie gwarancji wszystkim obywatelom, że w każdej okoliczności będą w możności utrzymać siebie i rodziny w przyzwoitych warunkach. Dlatego też część dochodu społecznego przeznaczana na cel ubezpieczeń winna być rozdzielana nie według użyteczności ekonomicznej, ale według potrzeb wynikłych z nędzy, bezrobocia, starości itp., przy czym zaspokojenie tych potrzeb winno być dokonywane nie tylko drogą ubezpieczeń społecznych, ale również drogą zasiłków rodzinnych.

Z powyższym łączy się postulat rozciągnięcia opieki lekarskiej na wszystkich bez wyjątku obywateli (również niezatrudnionych zarobkowo). Powszechna pomoc lekarska wyeliminowana być powinna z dziedziny ubezpieczeń społecznych i w związku z tym projektuje się zastąpić dotychczasowy system udzielania pomocy lekarskiej przez lekarzy ubezpieczalni szerszym systemem narodowej służby zdrowia. Organizacja ta będzie miała charakter instytucji użyteczności publicznej.

W dalszym ciągu plan Beveridge'a przewiduje następujące innowacje w dziedzinie ubezpieczeń:

- 1) zatrudnieni zarobkowo winni w wypadku ich choroby względnie niezdolności do pracy korzystać z zasiłków pieniężnych dla siebie i rodziny w wysokości kosztów utrzymania (dotychczas zasiłki takie przyznawane były tylko w wypadku bezrobocia).
- 2) szczególna opieka winna być roztoczona nad kobietami. Przy

wejściu w związek małżeński kobiety otrzymywałyby zasiłek 30 £ t. j. około 600 zł z 1939 r.). Po zamążpójściu kobieta winna być nadal uważana za osobę ubezpieczoną z tytułu składek opłacanych przez męża. Jej emerytalne uprawnienia winny być zachowane i wejść w życie niezależnie od jej wieku w chwili gdy mąż przestanie pracować zarobkowo.

- 3) Przewiduje się pomoc rodzicom w wychowaniu dzieci. (zasiłki dla dzieci do lat 15-stu względnie do lat 16-tu o ile jeszcze chodzą do szkoły).

- 4) Przewiduje się również propagowanie dobrowolnych ubezpieczeń, które są pożądanym źródłem oszczędności.

Zgodnie z założeniem, że system ubezpieczeń winien obejmować całe społeczeństwo, plan Beveridge'a dzieli ludność na grupy w zależności od stanu i warunków życia, tak, aby każda grupa miała zapewnioną skalę świadczeń odpowiadających jej potrzebom.

- a) Osoby w wieku podlegającym obowiązkowi pracy:

1. Osoby pracujące — wpłacają składki ubezpieczeniowe, które są zasadniczo jednako-

we dla wszystkich (bez względu na wysokość dochodów), a różne jedynie z uwagi na wiek. Ubezpieczenie mężczyzny obejmuje również ubezpieczenie ich żon.

2. Osoby pracujące na swój własny rachunek — opłacają składki podobnie jak grupa 1, z tym jednak, że korzyścią ubezpieczenia byłaby tylko emerytura starcza (ubezpieczenie nie dotyczyłoby bezrobocia, choroby lub wypadku). Ponadto, gdyby osoby te w wieku obowiązującym do pracy zmuszone były szukać nowej pracy mogłyby otrzymać pomoc w postaci umożliwienia im

przygotowania się do nowego zajęcia w specjalnie do tego celu utworzonych rządowych ośrodkach wykształcenia.

3. Żony poniżej lat 60 — byłyby ubezpieczone dzięki składkom opłacanym przez męża oraz miałyby zapewnione emerytury i zasiłki w wypadku choroby lub bezrobocia męża.

4. Osoby niezatrudnione — opłacają składki oraz korzystają jedynie z emerytury starczej.

- b) Osoby w wieku nieobowiązującym do pracy — t. j. dzieci, które korzystają z zasiłków oraz osoby powyżej wieku obowiązującego do pracy, które korzystają z emerytur starczych nie opłacając już żadnych składek ubezpieczeniowych.

Plan Beveridge'a został zaaprobowany przez Rząd jako podstawa dalszego działania w dziedzinie ubezpieczeń społecznych (dotychczas wprowadzone przez Rząd zmiany dotyczą wysokości składek lub świadczeń a nie samych zasad). Realizacja planu dowodzi o dążeniu do maksymalnego polepszenia sytuacji materialnej całego społeczeństwa. Najciekawszą cechą planu jest objęcie świadczeniami ubezpieczeniowymi wszystkich bez wyjątku obywateli. Stanowić to może pewnego rodzaju uprzywilejowanie finansowo silniejszych grup ludności, które płacąc jednakowe składki uprawnione są do emerytury starczej. Należy jednak podkreślić, że istotą tego postulat jest:

- 1) uzyskanie większej ilości środków finansowych na cele ubezpieczeń dla świata pracy,
- 2) ułatwienie w realizowaniu jednej z głównych wytycznych obecnej polityki socjalnej i ekonomicznej w W. Brytanii, którą jest dążenie do zmniejszenia dochodów indywidualnych oraz rozpiętości między nimi. Zmniejszanie prywatnych dochodów jednostki staje się bowiem rzeczą jaknajbardziej uzasadnioną wtedy, gdy państwo zapewnia jednostce opiekę lekarską oraz zabezpiecza jej byt w okresie starości.

Inwestycje w człowieka

Po 15 latach byłem w Zakopanem. W naturze nie zmieniło się prawie nic. Również nie wiele zmian zaszło w samym mieście. Zmienił się natomiast radykalnie skład kuracjuszy, mówiąc po dawnemu, a wczasowiczów po dzisiejszemu. Przed wojną Zakopane było dostępne prawie tylko dla ludzi zamożnych i to jak na polskie stosunki bardzo zamożnych. Toteż kuracjusze rekrutowali się z takich sfer jak bogaci ziemianie, kupcy, przemysłowcy i t. zw. sfery miarodajne, wysokie czynniki, czyli poprostu wyższa biurokracja. Ci ostatni mieli liczne ułatwienia oczywiście na koszt Państwa. O pobycie w Zakopanem decydowały zatem dwa czynniki:

- 1) zamożność,
- 2) stosunki.

Dzisiaj skład kuracjuszy względnie wczasowiczów przedstawia się następująco:

- 1) urzędnicy wszystkich szczebli służbowych,
- 2) robotnicy w szczególności górniczy,
- 3) młodzież,
- 4) dzieci.

Trudno tylko obserwatorowi ustalić, która z tych grup jest najliczniejsza. Zdaje się, że urzędnicy i to niższych szczebli. Piszący te słowa jest urzędnikiem w Ministerstwie. Otóż w okresie trzech tygodni na stan 40 osób w pensjonacie było

przez tydzień 2 urzędników ministerialnych, a przez dwa tygodnie 1 urzędnik ministerialny. Reszta to urzędnicy niższych instancji. Na ogół jednak liczebność wymienionych grup jest jednakowa.

Nasuwa się pytanie co dzisiaj decyduje o korzystaniu z licznych dobrodziejstw Zakopanego. W maiym stopniu pieniążk natomiast takie czynniki jak np. warunki pracy, wiek, potrzeby kuracyjne i t. p. Czy mają znaczenie również stosunki. Przypuszczam, że w pewnym stopniu także. Rzecz nie do uniknięcia w każdym ustroju. Jednakże jeśli nawet, to korzysta z nich ta warstwa, która dawniej nigdy z nich nie korzystała, a która obejmuje ludzi ciężkiej pracy.

Widok głębokimi brudami poranych twarzy górników, małych dzieci, chłopców i dziewcząt to widok stwarzający dziwnie radosną atmosferę, mimo tego, że muzyka u Karpowicza i w „Morskim Oku” gra znacznie gorzej, aniżeli przed wojną. To widok dawniej nieznan.

Zakopane to jeden z odcinków wielkiego problemu. Problemu t. zw. wczasów dla świata pracy. Problem ten jest wielki zarówno ze względów moralnych jak i materialnych.

Wczasy to jeden z konkretnych wyrazów sprawiedliwego podziału dochodu społecznego. Wczasy to upowszechniona sprawiedliwość, a

nie indywidualne miłosierdzie, a zatem to wzrost zaufania do państwa, to wzrost pewności siebie, energii, aktywności, optymizmu itp.

Równocześnie to olbrzymi problem materialny zarówno ze względu na koszty jak i wyniki. Koszty wczasów są niewątpliwie bardzo wysokie, idące w miliardy. Duża część dochodu społecznego ulega konsumowaniu. Koszta są do obliczenia. Natomiast wyniki wkładu tych kosztów są nie do obliczenia. Tym niemniej są olbrzymie i napewno niewspółmiernie wysokie w stosunku do kosztów. Wyniki to wzrost wydajności pracy, a w konsekwencji wzrost produkcji, rentowności gospodarki narodowej i w ostateczności wzrost dochodu społecznego.

Reasumując można stwierdzić, że wczasy to inwestycja w człowieka pomażająca jego siły moralne i fizyczne. Wczasy to postęp.

Malkontenci szczególnie liczni w Polsce zjawiają w dotychczasowym stanie omawianej sprawy niejedną usterkę. Na pewno one istnieją zarówno ze względu na ułomność ludzką, jak i brak doświadczeń. Ale jakkolwiek byłyby te usterki fakt jest faktem, że wielka sprawa ruszyła z miejsca. Jest to wielkie osiągnięcie obozu rządzącego w Polsce. Jest to naprawdę pozytywny element nowego ustroju społeczno-gospodarczego. (f)

Czytelnik uważa, że...

DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO”

JESZCZE „DZIEJE GŁUPOTY”

„Dzieje głupoty w Polsce” Aleksandra Bocheńskiego jest książką wybitną. Analiza samych tylko jej wad zajęłaby wiele szpalt. Jedną z czołowych jest, że na okładce nie figuruje napis tom pierwszy. Treścią swoją sięga tylko sporadycznie okresu późniejszego niż 1830. Najbardziej frapujące jej strony to okres stanisławowski.

Bocheński nie jest, pomimo całej swej erudycji i pracowitości (kilkaśet pozycji bibliograficznych!) historykiem. Podstawowym obowiązkiem publicysty politycznego w wielkim stylu jest trening myślowy czytelnika celem ułatwienia mu trafnej oceny wypadków bieżących, których jest przedmiotem, ofiarą lub beneficjentem. Otóż Bocheński spełnia to zadanie, ale spełni je o wiele kompletniej skoro napisze tom II i III i doprowadzi swe rozważania do współczesności.

Dlatego też należy ubolewać, że jako metodę wybrał polemikę ze wszystkimi po kolei historykami polskimi. Historyków współczesności być nie może. Należałoby pisać dalsze tomy zmieniać metodę, na czym ucier-

pi konstrukcja dzieła. Rozumiem jednak doskonale, że Bocheński nie oparł się pokusie drgnącegogo przypomnienia historykom, że zachowanie trzeźwych poglądów i ocen do zaciśnięcia bibliotek i szukanie popularności (ubrane w tak zwane krzepienie ducha lub podnoszenie morale) w książkach powszechnie czytanych pociąga za sobą rezultaty, o których się historykom — którzy podkreślają, że są „tylko” historykami — nie śniło. Historyk musi mieć wyobraźnię, ale ta wyobraźnia musi być polityczna, inaczej bowiem „historia magistra vitae” staje się nonsensem, bowiem polityka to ustosunkowanie się do życia. Przecież uparcie się twierdzi u nas, że Polska miała i ma znakomite wojsko podczas gdy od połowy 17 wieku mieliśmy, i nadal mamy, znakomitego żołnierza. A to wcale nie jest to samo.

Spustoszenia, jakie w umysłach naszego pokolenia poczyniła „historia stosowana”, miałem okazję obserwować na gorąco wśród emigracji wojennej w W. Brytanii. Wśród oficerów, którzy zwłaszcza po śmierci Sikorskiego, stanowili główny ośrodek dyspocyjny, pełno było dyplomowanych na wszystkie strony, dla których bitwa pod Mołotkowem była ważniejsza od Verdun. Tak ich wy-

wojennej, gdzie nie uczono np. geochowiwano w naszej Wyższej Szkole grafii gospodarczej, ale gdzie lektura Malinowskiego i Lipińskiego była obowiązkowa.

A decyzje, które pobierali, były na olbrzymią skalę. Twierdzą, że za powstanie warszawskie i manowce gór AK odpowiadają w dużej mierze polscy historycy, których Bocheński niezawsze z tą samą precyzją i trafnością w interpretacji faktów, ale zawsze z tą samą słusznością obciąża. Naraziłem się kiedyś mocno pułkownikom w Szkocji poddając w wątpliwość wartość militarną i strategiczną hasła „mierz siły na zamiary, nie zamiar według sił”.

Największą wartością książki Bocheńskiego jest zmuszenie czytelnika do transponowania politycznych przesłanek przeszłości na teraźniejszość. Przesłanki są inne, ale technika myślenia politycznego ta sama, również dobra lub zła, co za czasów Lelewela. Czytelnikowi byłoby łatwiej to uczynić gdyby Bocheński doprowadził książkę bliżej w czasie. Albowiem w polityce nie wystarczy mieć rację. Trzeba ją umieć podać, uczynić atrakcyjną, porywającą, pchnąć ją skutecznie do realizacji. Głos wołającego na puszczy jest równie mało pociągający jak los nieznanego żoł-

nierza lub cichego pracownika na niwie społecznej.

Otóż Bocheński ma rację, ale przy całym swoim talencie polemicznym i pisarskim ta racja niezawsze jest atrakcyjna. Nie dlatego, że książka jest irytująca. Czytelnika urodzonego w zaganiu się, wychowanego w krzepie, musi irytować wskazywanie sprzeczności pomiędzy myślą jaką tworzy, a światem, w którym żyje. Ani starzy ani młodzi nie wdzili w tym contradictio in adiecto.

Niepohamowana tendencyjność i jednostronność niektórych publicystów marksistowskich (rekordem tego rodzaju jest artykuł St. Jędrzychowskiego w ostatnim „Odrodzeniu” pod tyt. „22 lipca”, wywołuje niechęć do spokojnej i krytycznej w swych konkludkach analizy poziomu sanacyjnej myśli politycznej. O wiele bardziej przekonujący jest Bocheński, choć tylko mimochodem nawiązuje do tego okresu.

Historyk może uczenie dowiódć, że dana sytuacja „i tak i tak” była bez nadzieja. Polityk musi w każdej — a więc i beznadziejnej — sytuacji zająć stanowisko i wybrać najmniejsze zło. A to zawsze istnieje.

Szkoda, że Bocheński dla tak wartościowej pracy wybrał tytuł niefortunny.

Jan Meysztowicz